



**ŚWIATEŁKO.**


**PISEMKO**

poświęcone


**MATKOM i DZIECIOM**

przez

**Emmę z Kurowskich Puffke.**





**Poszyt III.**



**LESZNO.**

Nakładem i czcionkami Ernesta Günthera.

**1 8 6 2.**



WATERBURY

1850

WATERBURY

WATERBURY

1850

1850

1850

## **Treść:**

O przeznaczeniu niewiasty.

Małgorzata Montmorency, czyli: Pustelnica w Pyreneach.  
Obrazek historyczny.

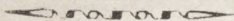
Listy z podróży.

Pius IX.

Wieszcz.

Śmierć.

Podarunek Ody. Powiastka dla dzieci.



1848

THE  
LIBRARY OF THE  
MUSEUM OF  
COMPARATIVE ZOOLOGY  
AND ANATOMY  
HARVARD UNIVERSITY  
CAMBRIDGE, MASS.

NOV 10 1891

## O przeznaczeniu niewiasty.

---

Zastanawiając się nad posłannictwem mężczyzny na ziemi, widzimy, iż dążnością jego jest udoskonaląć wszystko, co go otacza. Przez swoją pracę zamienia on pustą powierzchnię ziemi na rozkoszne gaje i ogrody, wydobywa z jej łona głęboko zachowane skarby i kruszce, i stawia z nich pomniki, które zdają się uragać potędze czasu. Rozliczne płody na polu literatury i sztuk pięknych dowodzą także tej prawdy i przekonywają nas, iż to jest właściwe posłannictwo jego, naznaczone mu przez Boga.

Lecz w czémże szukać mamy posłannictwa niewiasty? Jój życie niezostawia po sobie żadnych trwałych pamiątek, żadnych pomników wielkości, przechodzi ona przez świat jak cień przemijająca, niezostawiając żadnego śladu po sobie. Oprócz kilku utworów sztuk pięknych, w których dusza jój się wylała, czas zniszczy szybko wszystko, co utworzyła w ciągu swój ziemskiej pielgrzymki.

Pomimo tego jest jednakże wzniosłem i pięknem zadanie życia naszego, bo nam zostawione jest kształcenie czyli udoskonalanie duchowe plemienia ludzkiego. Wpływ, który wywiera niewiasta na otaczające ją osoby, jest niezmiernie wielki. Z przyrodzenia jesteśmy słabe, podległe wielu ułomnościom i cierpieniom, lecz właśnie ten brak siły fizycznej oka-

zuje, iż niepowinniśmy szukać przeznaczenia naszego w dziełach ziemskiej trwałości, i że inne wielkie zamiary miał Bóg tworząc pleć naszą. Tak, zaiste, niepodobno jest niepoznać tego, iż Bóg przeznaczył nas wyłącznie do zajmowania się istotami znikomemi, jakiemi same jesteśmy. Nasi synowie i córki, których wydały na świat, których nieśmiertelną duszę Bóg pieczy naszej powierzył, nam są do kształcenia i udoskonalenia oddane. Więc wychowywać plemię ludzkie, przykładać się ile możności do uzacniania go i ulepszenia, jest szczytnym zadaniem życia naszego.

Lubo pod względem moralnym powołanie mężczyzny i niewiasty równem jest na ziemi, to jest, że oboje powinni czcić Boga, działać dobrze podług możliwości; że powinni kochać prawdę i sprawiedliwość, te dwie główne podstawy wszelkich praw ludzkości; mają jednakże każdy z nich swe odrębne powinności do spełniania. Mężczyznom powierzone są wyłącznie ważne sprawy w społeczeństwie: obrona ojczyzny, piastowanie urzędów, wykonywanie dzieł wielkich i trwałych; niewiastom zaś dostało się w podziale zajmowanie się sprawami domowymi, drobnymi wprawdzie, lecz rozlicznymi i niemniej ważnymi. Jój powinności są tak koniecznymi i potrzebnymi w porządku rzeczy, iż niepodobno jój wyłamać się z pod nich bezkarnie. Dzieci ich muszą koniecznie być wychowywane, starcy w rodzinie pielęgnowani, dom zarządzany. Jeżeli zaniedba tych powinności, wielką ciążą na niej odpowiedzialność. Jeżeli obierze sobie zastępców, musi tém baczeniejsze mieć na nich oko. To przeznaczenie jest wprawdzie trudnem i wiele wymaga poświęceń, lecz jest równie ważnem i pięknem, i ma w sobie źródło niewyczerpanej po-

ciechy dla tój, która je zrozumiała i godnie mu odpowiedzieć zdoła.

Naszem więc posłannictwem na ziemi jest, udoskonalenie życia domowego, rodzinnego, które to przez samego Boga jest ustalonem. To stosuje się do wszystkich stanów. Bogate czy ubogie, zamężne czy wolne niewiasty, wywierają zawsze główny wpływ na życie domowe. Szczęście rodzin w ich właściwie jest ręką. Mówiąc o życiu domowem, nierozumiemy jednakże przez to, by działanie niewiasty li tylko na domowe zatrudnienia ograniczać się miało; przeciwnie rozumiemy, iż powołanie jój sięga daleko wyżej. W ich rękę spoczywa moralność całego plemienia ludzkiego; one przez wychowanie, jakie dają swym dzieciom; przez przykład, którym świecą swym podwładnym; przez wpływ, który wywierają na swych mężach; są niejako rządczyniami świata. W domu to rodzinnym kształcą się te obyczaje, rodzą się te opinie, które rządzą światem i są podstawą wszelkiej moralności lub też zepsucia. Wszystko to, co w organizacyi politycznej nie opiera się na istotnych interesach życia rodzinnego, niszczeje wkrótce i nigdy dobrych nie wyda owoców. A że w życiu rodzinnem niewiasta jest tym punktem centralnym, którego promienie oświecają wszystko, co ją otacza, dla tego miejsce, które zajmujemy w porządku społeczeństwa, nie jest zaiste podrzędnem, ale niezmiernie wzniosłem i ważnem.

Im godniej wypełnia niewiasta swe powołanie, tém szczęśliwszy i większy wywierać będzie wpływ w sferze, w którą ją umieściły stósunki czyli wola Boga. Niewiasta zamężna, jako małżonka, matka i pani domu, zawsze ważniejsze zajmuje miejsce w społeczeństwie, niżeli ta, która zostawszy wolną, niewypełniła zupeł-

nie naznaczonego jój przez Boga powołania. Lecz i ona może stać się użyteczną na świecie, i błędnem to jest mniemaniem, że stare panny są tylko ciężarem dla świata. Są nim tylko w tym razie, jeżeli nie umieją zgodzić się z swym losem i zastósować się do swego położenia.

Niewiasta niezamężna jest właściwie daleko niepodleglejszą od téj, która będąc żoną i matką, jest we wszystkim zawisłą od woli tego, którego sobie za pana życia swego obrała. Wprawdzie każda młoda dziewczyna, wychowana przez matkę rozsądną i pobożną, wykształca się podług wzoru, który ma przed oczyma, a przywykła od dzieciństwa do zależności i posłuszeństwa, będzie zawsze i we wszystkim zważała nietylko na głos sumienia, ale i na sąd opinii publicznej. Tak jest i tak być powinno. Niewiasta zbyt śmiała, lekceważąca ten sąd ostry i częstokroć niezupełnie sprawiedliwy, łatwo może niewinnie w różnoliczne popaść przykrości i troski.

Niewiasta zamężna daleko trudniejsze ma obowiązki. Niewspomniemy tu o tych zupełnie dobrych małżeństwach, gdzie charaktery i sposób myślenia dobrane szczęśliwie, miłość oparta na wzajemnym szacunku i godności, czyni związek ten stanem błogosławionym i jest źródłem największego szczęścia na ziemi. Lecz związki takie są niestety! bardzo rzadkimi na świecie, bo świat ten nie jest szczęścia siedzibą. Niewiasta w tém położeniu najszczęśliwszą będąc istotą na ziemi, nie potrzebuje żadnych rad ni pociechy. Będąc sama dobrą i cnotliwą, łatwo jój będzie wychować dobrze swe dzieci, i szczęśliwie w cieniu miłości i jedności przechodzić będzie drogę tego życia, dopóki nie stanie nad brzegiem zimnego grobu.

Lecz niestety! małżeństwa takie rzadkiemi są tylko wyjątkami w życiu ludzkim. Widzimy raczej codziennie, jak ułomności i przywary ludzi zamieniają ten stan błogosławiony na pasmo ciągłej walki trosk i udręczeń.

Lecz właśnie to w nieszczęśliwym małżeństwie może się prawdziwa wielkość niewiasty najjaśniej objawiać. Tu ona ma pole do wykształcenia w sobie wszystkich cnót, zdobiących niewiastę chrześcijańską: cierpliwości, pokory, zaparcia się własnej woli. Kiedy widzi, że wszystkie mądre jej rady są odrzucane, że wszystkie jej prace i mozoly przez nierozważnego lub marnotrawnego męża niweczone zostają, kiedy on przepędza dnie i noce na szumnych zabawach, marnując ostatek majątku jej dzieciąt, gdzież wtenczas szukać ma pociechy? — Jak wielkiej spokojności umysłu, jak wzniosłej i silnej duszy potrzebuje ona, by się wzniesć nad te codzienne udręczenia, nad te coraz to inaczej dokuczające drobnostki, które zatrzymują każdą chwilę jej życia. O, zaiste, jest to ciężka i długa pielgrzymka, zasłana głogiem i kłującym cierniem; lecz niepodobno, by ona zaprowadzić nie miała do przystani wiecznego szczęścia i spokoju!

Najważniejszem więc zadaniem wychowania powinno być dla każdej matki, wykształcenie takiej swjej córki, by się umiała znaleźć w każdym położeniu, jakie jej przeznaczonem będzie od Boga; bo tego, pomimo najczulszej baczości, rodzice nigdy przewidzieć nie mogą, wydając za mąż swą córkę, w jakie ją ręce oddają.

Bez wątpienia najpotrzebniejszą jest tu dobrze wyrozumowana znajomość swych powinności, lecz nie zupełnie wystarczającą. Do spokojnego znoszenia swego losu więcej tu jeszcze potrzeba.

Przedewszystkiem niewiasta powinna być wolną od samolubstwa i zarozumiałości. A cóż może lepiej w niej te wyniszczyć wady, jak miłość boża, jak ta wiara silna i potężna, ta miłość chrześcijańska, która rozgrzewa serce i wlewa w nie wzniosłe uczucie dla wszystkiego, co dobre i piękne. Jeżeli niewiasta ma być pokorną bez podłości, uprzejmą bez załobności, słodką, cierpliwą, poświęcającą się dla dobra ludzkości, stałą i niewzruszoną w każdym nieszczęściu i w każdej pokusie, uszczęśliwiającą wszystko, co ją otacza, niechaj w nią od dzieciństwa wpajane będą zasady religii chrześcijańskiej.

Religija nasza jest tak doskonale zastosowaną do potrzeby całej ludzkości, iżby ją się może poniżyło mówiąc, iż jest wyłącznie dla niewiast stósonną. Lepiej jest powiedzieć, iż my niewiasty zdajemy się wyłącznie stworzone dla religii chrześcijańskiej. W naszych to sercach znajdzie najłatwiej odblask owa miłość chrześcijańska, której Zbawiciel naucza; nasza dusza wznosi się najłatwiej na skrzydłach wyobraźni w nadziemskie krainy i znajduje tam pociechę w tłoczących ją troskach życia tego. Do naszego to usposobienia przemawia najbardziej obraz Zbawiciela takiego, jak go nam Ewangelia św. przedstawia. Gdyby religia niezagrzewała serc naszych dziecięcém zaufaniem i miłością, i gdybyśmy zmuszone były w każdym zdarzeniu uciekać się do rozumowania, wtenczas wiele trudniej byłoby nam znosić los nasz często tak bolesny i przykry.

Lecz niewiasta, która pojęła i zrozumiała słowa Jezusa Chrystusa, widzi przed sobą jasno wszystkie swe powinności, i wypełnia je ściśle. Przyjmuje z pokorą krzyż, który jój Bóg zsyła i idzie odważnie w ślady Zbawiciela swego. Jój jedyną dążnością jest,

przez dobre uczynki i życie bliźnim użyteczne, zagłuszyć boleść serca zranionego niewiarą małżeńską, zawodami i złudzeniami rozmaitego rodzaju, które ją w życiu spotkały. Nie da się ona przywalić ciężarem nieszczęść, bo silna wiarą i nadzieją podnosi wzrok swój stęskniony ku niebu i tam znajduje pewną i nieomylną pociechę. Czuje ona także, jak bardzo potrzeba jej poznać gruntownie własne serce, i staje się tém pokorniejszą, im bardziej poznaje, ile jej zbywa do doskonałości. Przyrównywając się bez ustanku do swego boskiego wzoru, widzi, jak trudno jest stać mu się podobną. Poddana swemu mężowi przez silne uczucie powinności, stara się wszelkimi sposobami wady jego naprawiać lub przynajmniej pokrywać, i pracuje nad tém, by dziatki swe na dobrą naprowadzać drogę, pomimo trudności, które jej się w nieszczęśliwém małżeństwie i tutaj stawiają.

Tym samym duchem ożywiona jest i w zarządzie swego domu. Stara się, by był przybytkiem wszystkiego, co dobre i szlachetne. Przez tę wrodzoną każdej kobiecie chęć upiększania wszystkiego, co ją otacza, czyni ona i w tém, co tylko może. Jeżeli mąż w szalony sposób trwoni majątek na kartach i rozpuście, ona przez mądrą oszczędność i pracowitość stara się wstrzymywać grożący upadek ich majątku. Jeżeli przeciwnie mąż przez brudne skępstwo i chciwość wydziera sługom i robotnikom grosz ciężko zapracowany, ona stara się pokryjomu wynagradzać krzywdy, osuszać łzy, które jego niesprawiedliwość i chciwość wyciska bliźniemu.

Gdy najlepsze jej chęci i życzenia urzeczywistnione być nie mogą, gdy we wszystkim stawają jej na przeszkodzie: złośliwość, upór i zarozumiałość, ona

ponosi wszystko mężnie i cierpliwie, bo niewiasta chrześcijańska lepiej, niż każda inna, umie zastosować się do okoliczności. Ona znosi z odwagą głód, nędzę i pracę, przyjmując wszystko jako zesłanie od Boga; czeka spokojnie lepszej doli. Nieznużona w poświęcaniu się dla swych współbraci, nie od nich w zamian nie wymaga; znosi z pokorą wyrządzane jej zniewagi, a gdy wszystko, co jej drogiem i milem, stroni i usuwa się od niej; ona nie czuje żalu ku tym, co ją opuszczają, bo wyższa nad stósunki światowe, chętnie przebacza urazy i czerpie pociechę z czystego źródła religii.

Tak więc niewiasta chrześcijańska pod władzą rodzicielską będąc posłuszną i dobrą córką, gdy zostanie żoną potrafi godnie wypełniać swe obowiązki, choćby i najgorszego los jej przeznaczył męża. Jako matka będzie stałą, cierpliwą, roztropną, jednym słowem dobrze wychowa swe dzieci i poprowadzi je do Boga. Jeżeli los zdarzy, iż wdową zostanie, strata jej męża nie zmieni nic w jej wielkim celu doskonalenia się duchowo. Stawszy się samodzielnie rządczynią dóbr swoich dzieci, będzie się starała na być do tego potrzebnych wiadomości i światła, i godnie odpowie trudnym obowiązkom, który jej stan wdowi na nią wkłada. Jeżeli zaś zostanie w stanie panieństwa, otwiera jej się i tu niezmiernie pole do służenia ludzkości przez dobre uczynki, które to w tym stanie spełniać jej właściwie najłatwiej.

Ażeby być niewiastą doskonałą potrzeba nam niezmiernie wiele przymiotów i zalet, które nawet na pozór przeciwne się sobie wydają i które dopiero w jedną harmonijną złączone całość, utworzą istotę odpowiednią posłannictwu, naznaczonemu jej od Boga. A gdzież mamy szukać wzoru tej doskonałości? Tu-

taj, jak i we wszystkim innem, dopomoże nam Ewangelia św. Tam to niewiasta chrześcijańska ukazuje nam się w zarysach wprawdzie porzrzuconych, lecz pięknych i wzniosłych. Taką jest przeczysta dziewica Marya, wybrana do najwznioślejszego powołania na ziemi dla swój skromności, prostoty i pilności. Taką jest i druga Marya, siostra Łazarza, siedząca u stóp Zbawiciela i słuchająca słów jego, „która najlepszą część obrała, jaka jój odjętą nie będzie.“ Taką jest niewiasta, o której wspomina Paweł św., której ozdoba zakłada się na czystości serca i piękności obyczajów, na spokojnym i pobożnym umyśle, co się najbardziej Bogu podoba.

## Małgorzata Montmorency,

czyli:

Pustelnica w Pyreneach.

### Obrazek historyczny.

Przytoczona tu powieść z życia Małgorzaty Montmorency opiera się na prawdziwych podaniach, znanych i zachowanych we Francyi. Życie téj świątobliwej niewiasty lubo niezawiera zdarzeń nadzwyczajnych, romansowych, jest jednakże tak zajmującym i rzewnem, okazuje tyle wytrwałości w cierpieniach przyjętych dobrowolnie z miłości dla Chrystusa, że może współrodaczki moje nie wezmą mi za złe, iż im ten kwiatek z obcej niwy przynoszę.

Wszakże we wszystkich stronach świata tchnęły i tchną pobożne serca miłością dla Zbawiciela naszego, a dla prawdziwego Chrześcijanina jest bratem każdy, kto go Go miłuje.

## ROZDZIAŁ I.

Niedaleko Paryża wśród rozległego lasu, którego niebotyczne dęby i buki splatając swe rozłożyste konary, niedozwalają przedzierać się nawet promieniom słonecznym, wznosi się stare opactwo, założone przez Izabellę, księżniczkę francuzką, siostrę Ludwika świętego.

Pobożna ta księżniczka radziła się jednego świętobliwego zakonnika, coby było milszem Bogu: założenie szpitala czy klasztoru, i za jego radą założyła klasztor, który w sto lat później dostał nazwę opactwa Longchamps.

Pierwsze zakonnice w Longchamps nienależały do żadnej osobnej reguły, miały tylko tytuł: „pokornych Sióstr panny Maryi“, który im księżniczka Izabella obrała; później zaś, za wstawieniem się Ludwika świętego, nazwane zostały Minorytkami i przyjęte były do reguły św. Franciszka.

Znakomita założycielka opactwa Longchamps zamieszkała tamże i żyła w największej pobożności, nie złożywszy jednakże ślubów klasztornych; lecz nie długo cieszyła się tém pobożném ustroniem, umarła bowiem w lat ośm po założeniu klasztoru.

Przy jój grobie zaszyły rozmaite cuda, o których wspomina w opisie życia księżniczki Izabelli uczona zakonnica Agniészka Harkurt, i odtąd klasztor ten nabył wielkiej wziętości. Wiele znakomych osób miało sobie za zaszczyt być przyjętemi do niego. Kilka księżniczek francuzkich z królewskiego rodu były tam zakonnice, i w tym to klasztorze Filip drugi, król francuzki, zachorował i umarł.

Chociaż później religija postradała władzę nad sercami i to pociągnęło za sobą zepsucie obyczajów,

kościół w Longchamps niestracił jednakże swęj wziętości, lubo go tylko z mody odwiedzano; dla swego bowiem pięknego położenia wśród lasu i małej odległości od stolicy, stał się celem ulubionęj przechadzki dla eleganckiego świata paryzkiego.

Pod panowaniem Ludwika XIII. opactwo Longchamps nowęj nabrało wziętości. Schodzono się tam w ostatni tydzień wielkiego postu na koncerty wokalne, wykonywane przez najslawniejszych artystów ówczesnych. Lecz Arcybiskup paryzki uważając w tęm raczej podniętę uciechy światowęj, niż pobożności, zakazał tę muzykę. Odtąd kościół został opuszczony, lecz przechadzki trwały ciągle, a nawet w te dni boleści i żałoby droga do lasu Longchamps była napełnioną wszytkiem, co dwór królewski i Paryż miał najświetniejszego.

Jednakże wśród najogólniejszego zepsucia znajduję się osoby wybrane, które zdołają się uchronić od kału wieku, w którym żyją. Więć tęg kościół w Longchamps nie był nigdy zupełnie zaniedbany. Klasy robotnicze, potrzebujące w swych trudach i ucisku pociechy nadziemskiej, a zatęm mniej skłonne do zapomnienia o Bogu, niż ludzie w wielkim żyjący świecie, nie poprzestały uczęszczać do niego. Czasem przybywali tam i bogacze, chcąc wytchnąć z uciążliwych więzów światowych i czerpać pociechę w nięjednem strapieniu.

Na końcu Maja roku 1643 pojazd wytworny z służącymi w bogatęj liberyi toczył się szybko po gościńcu prowadzącym do Longchamps. Był to śliczny dzień wiosenny; słońce świeciło jasno na pogodnęm niebie, a wysmukle wieżyce kościoła wyzierając z pomiędzy drzew okrytych świeżą zielonością, zdawały się sięgać aż w obłoki. Błoga cichość, panująca w okolo,

przerywana była tylko śpiewem ptasząt cieszących się pogodnemu rankowi, powietrze zaś pełne było balsamicznych woni, które roztaczały pierwsze kwiatki wiosny.

Pojazd zajechał szybko przez długą aleję lipową przed front kościoła. Służący zeskoczyli, i otworzywszy drzwiczki od karety, pomogli wysieść z niej młodej swój pani.

Była to dziewczica w pierwszej wiosnie życia i zajmującej piękności. Jój ubiór podług ówczesnego zwyczaju był niezmiernie kosztowny i świetny. Suknia z karmazynowego adamaszku okrywała kształtną jój kibić, a na niej kaftan z czarnego aksamitu, wyszywany klinklinem, a obłożony hermelinową obszywką, podnosił przejrzystą białość jój liców. Mały słomiany kapelusik, ozdobiony kilku splywającemi czarnemi piórami, osłaniał śliczną jój twarzyczkę, której wyraz pełen anielskiej słodyczy i dobroci upiększał jeszcze bardziej regularne jój rysy.

Po skromnej i nieśmiałej postawie młodej dziewczyny łatwo poznać było, iż rzadko kiedy znajdowała się bez macierzyńskiej opieki, i że niezaznała jeszcze żadnych burzliwych chwil w tém życiu. Cała jój postać tchnęła anielską dobrocią i niewinnością, jakby zstępowała prosto z niebios, gdzie wśród chóru aniołów wolno jój było wpatrywać się w blask majestatu boskiego.

Wyszedłszy z pojazdu, rzekła uprzejmie do swych służących, dając im duży woreczek pieniędzy. „Uwalniam was od towarzyszenia mi dalej, powróćcie z pojazdem do domu i przyjmijcie to na pamiątkę ode mnie.“ Potém nie zważając na ich podziękowania biegła spieszenie po kamiennych wschodach, prowadzących do drzwi kościoła.

Zakonnice tego klasztoru, które po większej części pochodziły z rodzin najznakomitszych w kraju i wychowane były w zbytkach i bogactwie, poddawały się w tém ustroniu regułom życia ostrego i ubogiego. Ich odzież była z najgrubszej tkaniny, ich jadło jak najprostsze. Tak dalece oderwane były od wszystkich ziemskich świetności, że nawet w swym kościele niecierpiały żadnych zbytkownych ozdób. Nie było tu ani pozłaceń, ani kosztownych materyj. Kilka tylko pięknych obrazów zdobiło białe ściany, a białe płócienne pokrycia, świeczniki miedziane, krzyż ze słoniowej kości, i ciągle palące się lampki na każdym oltarzu, stanowiły jedyne jego ozdoby. Wchodząc do tego przybytku, każdy poznał łatwo, że to był dom tego Boga, który, ażeby świat zbawić, opuścił przepychy niebieskie i niesłychane rozkosze, których na łonie ojca swego kosztował; że to były miejsca poświęcone temu Bogu, który się w żłobeczku narodził i żył w pracy i ukryciu przez lat 30, a potem okryty obelgami i hańbą, na krzyżu pomiędzy lotrami przybitym został. Poznać także było łatwo, iż to była ulubiona świątynia czystych dziewic, które, by iść w ślady swego boskiego wzoru, złożyły ślub ubóstwa i pokory, i pędziły życie pobożne zdaleka od owych marności światowych, jakimi są bogactwa, zaszczyty i wszelkie wielkości, które przywiązując człowieka swemi pętami do ziemi, nie dadzą duszy jego wznieść się do niebios, prawdziwej jego ojczyzny, przeznaczonej mu od Boga. Wchodząc w progi tego kościoła, oświeconego blado przez kolorowe szyby długich wązkich okien, dusza przejętą była głębokiem uczuciem czci i pobożności, a wszystkie myśli światowe znikały w téj chwili, jak senne marzenia przy wzbudzeniu.

Młoda dziewica, w pobożnym zebraniu ducha, zbliżyła się do wielkiego ołtarza, uklękła i zatopiła się w gorącej modlitwie. Klęcząca jój postać w kosztownym stroju, dziwnie odbijała przy skromnych murach kościoła. Lecz spojrzawszy na jój twarz anielską, na jój oczy wzniesione ku niebu, pałające ogniem miłości niebiańskiej, łatwo było można poznać, iż ten blask powierzchowny był przybrany, a dusza całkiem Bogu oddana.

Z czołem schylonem modliła się długo przed wielkim ołtarzem, potem poszła do kaplicy, gdzie spoczywały zwłoki świętej Izabelli, uklękła na grobowym kamieniu, i wylewając strumienie łez gorących, zanurzyła się w głębokiem rozmyślaniu. Na jój pięknej twarzy malowały się naprzemian uczucia najwyższej boleści, smutku i nadziei, lecz czasem odblask nadziejskiej rozkoszy zabłysł w jój jasnym oku, jak gdyby dusza jój już przed tron Boga najwyższego wzniesioną była, chociaż znów prędko chmura smutku je zaćmiła, bo zdawała się żałować, że nie może się jeszcze połączyć z jedynym przedmiotem swojej miłości. To znów jakaś ciężka walka odbywała się w jój duszy, w której zdawała się potrzebować światła z niebios, by odnieść zwycięstwo. Widząc ją tak wzruszoną, trzeba było mimowolnie litować się nad nią i badać o przyczynę jój niepokoju. Czy już młodą jój duszą miotaly jakie burzliwe namiętności? Czy groziło jój jakie niebezpieczeństwo? Czy nieprzyjaciel zbawienia stawiał sidła na jój niewinność? Lecz po tych wzruszeniach gwałtownych błoga spokojność wstąpiła w jój duszę. Młoda dziewica zdawała się uwolniona od wielkiego ciężaru, łzy płynęły z jój oczu, słodki uśmiech zawitał na ustach, a gdy się ocknęła z swego pobożnego zachwy-

tu, rzekła z zapalem: „Dzięki ci, o wielki Boże, iżś mi dał poznać swoją wolę; dzięki ci, iż mnie odwołujesz od wielkości światowych, w których tak łatwo zapomnieć można o tobie! Dzięki twojej dobroci, iż już nie będę otoczona temi hołdami; nie będę słyszała tych głosów niebezpiecznych, które we mnie próżność i dumę chcą wzniecić! Tak, wielki Boże, ty rozkazujesz mi wydrzeć z serca obraz ukochany, który może zdołałby miłość ku tobie w niem zaćmić. Bez blasku i pochlebstw żyć odtąd będę w pokorze i zapomnieniu od całego świata, poświęcając się usłudze mych bliźnich. Ty będziesz odtąd jedyną moją miłością, mojem bogactwem i szczęściem, i nic mnie nie odłączy od ciebie. O, dzięki ci z całej duszy, wielki Boże, bo dziś udzieliłeś mi największej łaski, o jaką błagać cię zdołałam.“ A potem obracając się do grobu księżniczki Izabelli, mówiła dalej: „Cnotliwa księżniczko, która także porzuciłaś blask tronu, by żyć tylko dla Ciebie, opiekuj się mną w nowej drodze, którą sobie obrałam, i dodaj mi mocy i odwagi do wykonywania trudnych obowiązków, które dobrowolnie przyjąłam na siebie.“

Po skończonych modłach udała się młoda dziewczyna do małych drzwiczek, prowadzących na podwórze opactwa, przebiegła spiesznie podwórze, nie spoglądając na przechodzące się tu osoby, i przybywszy do bramy ogrodowej zadzwoniła. Wkrótce potem brama otworzyła się z trzaskiem i młoda dziewczyna zniknęła za nią; nim jednak brama zamknęła się, spojrzała niespokojnie, czy ją nie widzi który z jej służących. W ogrodzie zamiast iść aleą prostą, ocienioną rozłożystemi drzewy, udała się w gęstwinę, rozdzielając delikatnymi rękoma kolczaste gałęzie, które ją w twarz i oczy uderzały. Przeszedłszy tak dużą

przestrzeń drogi, niezważając na boleść, jaką jej sprawiało klucie i uderzanie gałęzi, dostała się do ciemnego chodnika, prowadzącego wprost do lasu. Tu ujrzała niewiastę, która nabierawszy w lesie suchych drewek, odpoczywała w cieniu akacyi z swém brzemieniem. Stała przed nią i rzekła uprzejmie: „Dobra kobieto! czy niechcielibyście mi zrobić jakiej przysługi?“

Żebraczka spojrzała na nią z podziwieniem, że pani tak bogato ubrana, była tak zadyszana, okryta potem i pokłutą cierniem. Lecz gdy młoda dziewczyna powtórzyła swą prośbę, żebraczka odpowiedziała, że chętnie uczyni, co od niej zażąda. „Pójdź ze mną w głąb' boru“, rzekła młoda dziewczyna.

Niewiasta podniosła się, zostawiła swe brzemień na ziemi i poszła za młodą panią w gęstwinę. Tutaj mówiła dziewczyna: „Przysługa, o którą cię proszę, bardzo dziwną zdawać ci się będzie, lecz że ci nieprzyniesie żadnej szkody, ale przeciwnie zarobisz na niej, spodziewam się, że mi jej nieodmówisz. Z ważnych nader przyczyn zmuszona jestem przebrać się tak, by mnie niepoznano. Dla tego proszę cię zamiast twą odzież za moją. Jesteśmy prawie różnego wzrostu, więc moje rzeczy wraz ci będą.“

Żebraczka coraz to bardziej zdziwiona wahała się z odpowiedzią. Jój odzież nietylko że była z grubej materyi, ale nadto brudna i podarta. Zdawało jej się niepodobieństwem, by osoba tak bogato ubrana chciała się ubrać w te łachmany, a sama wzdrygała się przywdziać na siebie strój tak wspaniały.

„Dla czegoż milczysz, dobra niewiasto?“ spytała młoda dziewczyna.

„Nieśmiem mówić“, odrzekła żebraczka, „bo moja

odzież tak jest niestósowną dla tak pięknej pani, jak strój jój dla mnie ubogiej niewiasty.“

„Niech cię to bynajmniej nie troszczy“, mówiła młoda dziewczica. „Zresztą, jeżeli chcesz, możesz sprzedać te rzeczy i kupić sobie za to stósowniejsze dla siebie.“

Żebraczka nie opierała się dłużej i nie mogła ukryć swój radości, widząc, iż młoda nieznajoma nie tylko swój kosztowny ubiór, lecz nawet złote bransolety i zausznice z brylantami dała jój w zamian za swe nędzne lachmany.

Obiedwie rozłączyły się z wielkiem zadowoleniem. Jedna z wyrazem anielskiej radości w twarzy, iż mogła zamienić swe oznaki ziemskiej wielkości na szatę Jezusa Chrystusa; druga, iż tak niespodzianie nabyła rzeczy, które ją przez długi czas od nędzy uchronić zdołały.

## ROZDZIAŁ II.

Zanim powiemy, kto była młoda osoba, którą poznaliśmy w pierwszym rozdziale, wspomnimy tu słów kilka z czasów, w których przypada osnowa naszej powieści.

Anna, księżniczka austriacka, żona Ludwika XIII., króla francuzkiego, została po śmierci jego regentką Francji. Oddalona od spraw państwa za życia męża, prześladowana, więziona nawet pod ministeryum Ryszelięgo, cieszyła się teraz tém bardziej swoją wolnością i znaczeniem, a wspaniałemi ucztami usiłowała zjednać sobie wiele nieprzyjaznych nowemu rządowi osób. Zbytki, jakich od czasów cesarzy rzym-

skich nie widział świat chrześcijański, wkradły się na dwór francuzki i pociągnęły za sobą zepsucie obyczajów, które przetrwało wieki i w rewolucyi francuzkiej najwyższego dosięgło szczytu.

Królowa Anna, otoczona liczném gronem dziewic z najznakomitszych rodzin Francyi, okryta blaskiem złota i drogich kamieni, przewodniczyła na tych świętych zgromadzeniach, i chociaż już w późnej życia porze, starała się swemi wdziękami zjednać sobie serca i wzbudzać cześć i hołdy swych poddanych.

Na jednej z tych uroczystości ukazała się niespodzianie księżna Montmorency, która po śmierci męża bawiła od niejakiego czasu w swych dobrach, o kilkanaście mil od stolicy odległych. Jój przybycie niebyłoby zrobiło wielkiego wrażenia, gdyby nie była przyprowadziła ze sobą swęj szesnastoletniej córki Małgorzaty, jaśniejącej rzadką pięknoscią. Królowa przywitała księżnę z wielką uprzejmością i rzekła biorąc ją za rękę: „Chciałabym ci wprawdzie robić wymówki, dla czego tak zupełnie zapomniałaś twych dawnych przyjaciół, dobra księżno! lecz w tój chwili tak jestem zadowolnioną z twego przybycia, iż wolę zamilczeć o tём i zapytać ci się, kto jest ta piękna dziewczyna, którą przyprowadzasz ze sobą?“

Księżna odpowiedziała, iż postanowiła czas żałoby po śmierci męża przepędzić w wiejskiem zaciszu, lecz że teraz odebrawszy swą córkę z zakładu sióstr pobożnych w W., wołała powrócić z nią do świata, by ją z nim oswoić nieco.

„Wiem o bolesnej stracie, którą poniosłaś“, odpowiedziała królowa, „lecz po dwóch miesiącach, poświęconych żałobie, czas powrócić do nas i zapelnąć próżnię, która przy nas została bez ciebie. Szczęście, że miłość macierzyńska miała więcej przewagi nad

tobą, niżeli przywiązanie ku nam. Twoją Małgorzatę biore odtąd pod moją szczególną opiekę“, dodała królowa, podając z uśmiechem swą rękę do pocałowania młodej dziewczynie. „Przywiązać ją do siebie, jest to najlepszy środek do zniewolenia cię, byś nas nieopuszczała więcej.“

Te słowa, wymówione dość głośno, rozmaite zrobiły wrażenie na osobach otaczających królowę. Kobiety, widząc rzadką piękność Małgorzaty, zlekły się, iż przyemi je wszystkie i odbierze im względy królowej, lecz pod uśmiechem pełnym wdzięku i gracy, starały się ukryć swe zawistne uczucia. Mężczyźni cieszyli się, iż królowa sprowadza na swój dwór dziedziczkę sławnego imienia i ogromnego majątku, i robili już w myśli plany, jakby ją ująć dla siebie.

Księżna Montmorency była to kobieta swego wieku. Oddana od młodości zbytkom i uciechom światowym, na nich tylko swe szczęście i powodzenie zakładała. Podług ówczesnego zwyczaju oddała swą jedyną córkę na wychowanie do klasztoru, by niepotrzebowała dla dziecka poświęcać czasu, zabawom wielkiego świata przeznaczzonego.

Gdy Małgorzata skończyła lat 15, odebrano ją do domu. Zachwycająca piękność młodej dziewczyny cieszyła i pochlebiała macierzyńskiej próżności księżnej; lecz jej skromne i pobożne ułożenie, jej dusza tęskniąca tylko za niebem, obca wszelkim próżnościom światowym, niepodobały się matce; starała się więc wszelkimi sposobami wykorzenić z niej to, co nazywała nałogami klasztornymi. By prędzej dopiąć swego celu, udała się do stolicy, gdzie w świetnych towarzystwach u dworu królowej Anny, z którą ją związki przyjaźni łączyły, zmianę swęj córki usku-

teczną się spodziewała. Małgorzata i jej matka były więc odtąd wszelkimi przepychami królewskiego dworu otoczone. Młodzi i starzy panowie dworscy ubiegali się o ich względy, jedni z własnego interesu, drudzy licząc na swych synów lub krewnych. Pierwsi podchlebiali matce, rozumiejąc, iż tą drogą trafią najłatwiej do serca córki; ci znów obsypują córkę podchlebstwami. Lecz te męczyły i nudziły niezmiernie młodą i niewinną dziewczynę. Wychowana w bojaźni i miłości bożej, obca zwyczajom wielkiego świata, Małgorzata rumieniła się i mięszała na oddawane jej hołdy; z oczami spuszczonemi ku ziemi, oparta na ramieniu matki, zdawała się cierpieć wśród grona swych wielbicieli, jak ima niewiasta cierpiąłaby wśród zgrai obrażających ją śmialków. Lecz właśnie ta jej prostota, skromność i niewinność, wzmagła dla niej to powszechne uwielbienie. Bo im rzadsza cnota wśród ogólnego zepsucia obyczaj, tém większe sprawia wrażenie nawet na najprzewrotniejszych umysłach.

Pomiędzy młodymi ludźmi, którzy się ubiegali o względy pięknej Małgorzaty, znajdował się także młody hrabia Seweryn de Rochefort. Człowiek ten lubo co do swęj moralności nie różnił się wiele od innych młodych ludzi swego wieku, był tak uprzejmym w swęj wzięciu, tak miłęj i zajmujęcęj postacią, iż nawet skromna i pobożna Małgorzata nie mogła być zupełnie obojętną na te jego powierzchowne zalety. Hrabia, pomimo lekkomyślności, która była cechą ówczesnego wieku, posiadał serce dobre i szlachetne, a w jego jasnym oku, błyszczącym nieraz ogniem burzliwych namiętności, malował się czasem jakiś wyraz tęsknoty za lepszym i wznioślejszym życiem. Dla tego też widok pięknej Małgorzaty zro-

bił na nim głębokie wrażenie, bo zdawało mu się, iż znalazł w niej anioła, który go na lepszą miał zaprowadzić drogę.

Księżna Montmorency przyjmowała go chętnie w swym domu, bo jako dziedzic znacznych majątności i towarzysz broni sławnego ówczesnego bohatera, księcia Kondeusza, był on pod każdym względem godzien ręki księżniczki Montmorency. Tak więc nie niestawało na przeszkodzie zamęściu Małgorzaty; lecz młoda dziewczyna, będąc jeszcze w klasztorze na wychowaniu, złożyła dobrowolnie ślub wiecznego panieństwa, dla tego z przestachem czuła w swém sercu rodzące się nieznanne jój uczucia miłości, i pomimo swój młodości walczyła odważnie z namiętnością, która groziła jój przeniewierzeniem się Bogu.

Gdy matka nalegała na nią, by dała słowo hrabiemu, ona odpowiadała, że gdyby miała iść za mąż, zapewneby tylko hrabiego Seweryna wybrała, lecz, że życzy sobie pozostać panną i poświęcić życie swe Bogu. Matkę trapiło bardzo to jój usposobienie, jednakże nie traciła nadziei, że czas i składane jój zewsząd hołdy, odmienia ją z czasem.

Jednakże zmiana ta nienadchodziła. Królowa wyznaczyła Małgorzacie i jój matce mieszkanie w swym pałacu. Musiały być przytomne codziennie niemal odbywanym uroczystościom.

To życie wśród samych uciesh i rozrywek świątowych mogło łatwo zawrócić głowę młodej dziewczynie i stłumić w jój sercu szlachetniejsze uczucia. Lecz Małgorzata, wychowana w gruntownych zasadach religii chrześcijańskiej, zamiast oddalać się przez to od Boga, zbliżała się tém bardziej do niego. Często przyszedłszy z świetnego balu do swój sypialnej

komnaty, zrzuciła ze siebie z niechęcią błyskotki i stroje, któremi była okryta, a ukłękawszy przed obrazem boskiego Zbawiciela, płakała rzewnie nad swoją świetnością. O jakże ona nienawidziła tych uciech! jak się gniewała na swą ulotną piękność, która tyle spojrzeń na nią ściągała, i sprowadzała jój holdy, które podług jój mniemania Bogu się tylko należały. „O dla czegoż, wielki Boże“, mówiła czasem, „obsypałeś mnie tylu darami; inne mają tylko do walczenia z pokusami, które im piękność sprowadza, drugie znakomitym tylko rodem szczycić się mogą. Mnie zaś obsypałeś wszystkiemi twemi darami, a ja ci za nie dziękować nie mogę. Powiedziałeś sam, iż trudno bogaczom dostać się do nieba, lecz trudniej to jest jeszcze tym, którzy żyją wśród zepsutego świata. O dozwól mi, wielki Boże, uciec przed tą wielkością, przeciwko której walczyć, zbywa mi na siłach. O gdybym mogła wstąpić w ślady twego boskiego syna, który przez lat trzydzieści żył w nędzy i pokorze. O jakżebym cię błogosławiła, gdybyś raczył pozbawić mnie tych bogactw, co zaturwają każdą chwilę życia mego.“

Tak Małgorzata modliła się bardzo często w samotnych chwilach do Boga, by ją przyjął do siebie i niedozwolił jój zawierać żadnych związków światowych.

Lecz matka zaczęła coraz bardziej nalegać na Małgorzatę, by niezwłoczyla dłużej przyjęcia oświadczeń hrabiego. Nawet królowa wstawiła się za nim, mówiąc, iż cieszy się widzieć wkrótce przed ołtarzem tak pięknie dobraną parę, a hrabia zdawał się cierpieć tak boleśnie na obojętności swój ulubionej, iż Małgorzaty serce przejmowało czasem uczucie najtkliwszej litości dla niego. Lecz niewzruszona

w swém postanowieniu oddania się całkiem Bogu, udała się w chwili, kiedy jój serce najbardziej rozmaitemi sprzecznymi uczuciami miotane było, na górę Walerika, gdzie cudowny obraz przemijającego pana Jezusa wabił w owych czasach tysiące dusz pobożnych do siebie, i tam błagała wśród łez gorących Zbawiciela świata, by ją uwolnił od tych pokus i przyjął całkiem do siebie. Wzmocniona modlitwą, z sercem zapaloném gorącą miłością ku Bogu, powróciwszy z pobożnej pielgrzymki, opuszcza swe przepyszne mieszkanie w królewskim pałacu i każe zawieść się do Longchamps, wchodzi do kościoła i tam po długim i bolesnem rozmyślaniu robi to mocne przedsięwzięcie opuszczenia wszystkiego, co jój miłóm było na świecie, i udania się tylko za głosem Zbawiciela swego. W radosném uniesieniu składa trojaki ślub: pokory, czystości i ubóstwa. Wzmocniona miłością Jego, może znieść nawet boleść opuszczenia matki, za którą modlić się nieprzestanie, i rozstanie się z tym, który tyle okazywał jój przychylności. Jój Bóg stanie za wszystko, on ją powiedzie na nieznanęj drodze, w którą się zabiera; on jój wszystkie trudy osłodzi; on jój doda odwagi, gdy droga, którą sobie obrała, za trudną będzie na jój siły.

Więc w tym pobożnym zapale udaje się do opactwa, zamienia swój ubiór na lachmany żebraczki, i w téj szacie Jezusa Chrystusa idzie daleko od Paryża pędzić życie w pokorze, umartwieniu i ciężkiej pracy.

## ROZDZIAŁ III.

Wielka była to rozpacz dla matki Małgorzaty, gdy służący przybyli z oznajmieniem, iż księżniczka zniknęła z kościoła. Księżna rozumiała z początku, iż córka jej udała się do klasztoru Minorytek, by wstąpić do ich zakonu; a że to bez wyraźnego zezwolenia rodziców lub opiekunów wówczas nie wolno było, więc pojechała czémprędzej do Longchamps, by natychmiast odebrać swą córkę.

Lecz jakież było jej przerażenie, gdy się tam dowiedziała, iż Małgorzaty nikt tam nie widział. Dziwnie, pomimo że pełno było zakonnic w podwórzcu opactwa, gdy Małgorzata przechodziła tędy do ogrodu, żadna z nich nie zważała na nią; możnaby łatwo ztąd wnosić, iż pobożna ucieczka młodej dziewczyny protegowaną była od Boga.

Nie będziemy tu opisywali boleści matki. Serce każdej niewiasty boleje okropnie nad stratą choć najmniejszego dziecięcia, a cóż dopiero gdy je straci w chwili, kiedy najświetniejsze rokuje nadzieje. Jest to boleść, którą czuć można, lecz opisać niepodobno; a że w takich chwilach nie umieramy z boleści, pochodzi zapewne ztąd tylko, że Bóg dodaje siły nadludzkiej nieszczęśliwym, których swą ręką nawiedza.

Zniknienie Małgorzaty zostawiało wprawdzie niejaki nadzieje jej odzyskania. Podług wszelkiego podobieństwa zostawała ona przy życiu, mogła więc powrócić jeszcze do rodziny. Lecz dawało ono pochóp do rozmaitych domysłów. Jeden z najboleśniejszych był, iż Małgorzata porwaną została przez którego z rozwiozłych dworzan królowej, co w owych czasach nic niezwykłego nie było, a przez to byłby dom Montmorencyów shańbionym na zawsze.

Księżna w głębokim smutku pogrążona pożegnała królowę i oddaliła się na zawsze od dworu, a świat wielki, który zatrudnia się najwięcej zdarzeniami dziennymi, poprzestał wkrótce myśleć o matce i córce.

Księżna żyjąc odtąd w zaciszu domowém, oddawała się ciągle boleści bez granic. Lecz Bóg, który zsyłając strapienie, ma także w pogotowiu zasób pociechy, pocieszył wkrótce jój serce.

Odgłos o żebraczce, przebranėj w książęce szaty, rozszedł się wkrótce po mieście, i doszedł aż do księżnej. Ta przybyła natychmiast do Paryża i kazała przywołać do siebie tę kobietę, i opowiedzieć jój, jakim sposobem przyszła do tych rzeczy. Gdy jój żebraczka pokazała klejnoty, które dostała w zamian za swe lachmany, księżna niemogła powątpiewać dłużej, iż jój córka oddaliła się dobrowolnie od świata, idąc za natchnieniem zesłaném jój z niebios.

Ta nowa myśl była balsamem pociechy dla nieszczęśliwej matki. W strapieniu uczy się człowiek najbardziej zapoznawać z Bogiem.

Księżna zajęta dotąd jedynie uciechami i wielkością świata tego, uczuła teraz dopiero próżnią, jaką życie takie zostawia w sercu człowieka. W swém osamotnieniu szukała próżno pociechy w rzeczach ziemskich; wszystko, co ją otaczało, wznagało tylko jój boleść.

Blask stroju, bogactwa, składane jój hołdy, zimny współdział jój znajomych, nawet jasne słońce w dzień pogodny, wszystko raziło ją i przeszywało nowemi ciosy zbolałe jój serce. Gdzież więc miała szukać pociechy?

Wtenczas to religija przyszła w pomoc cierpiącej tej duszy; jój dobroczynne światło oświeciło nieszczęśliwą księżnę, i odtąd znosiła spokojnie swój

smutny los, bo myśl, iż znajdzie kiedyś w inném lepszym życiu swą straconą córkę, słodziła gorzką jej boleść.

Familia Montmorency robiła jeszcze różne bezskuteczne poszukiwania swój zniknionej krewnej, lecz nakoniec zapomnieli wszyscy o pięknej Małgorzacie.

Tymczasem młoda dziewczyna wyszedłszy z Paryża, szła śmiało wzdłuż brzegów Sekwany, pewna, iż w swój nowoprzybraną odzież ujdzie wszelkiemu ściganiu. Z nadchodzącą nocą przybyła do miasteczka Chateauru. Tutaj weszła do jednej z najędzniejszych chat rybackich i prosiła o przenocowanie. Dano jej niechętnie kęs suchego chleba i wskazano jej w stodole na słomie miejsce do spoczynku. Tak więc gdy w zamku królewskim wszyscy zajęci byli losem, a niejeden zazdrościł współudziału, który można królowa okazywała dla niej, ona w największej nędzy spoczywała snem słodkim, jakim cnota obdarza, chociaż na garści lichy słomy.

Jest to zaiste dziwne zjawienie; młoda dziewczyna pogardzająca wszystkim, czém tylko wielkość darzyć może; wszystkim, co tylko życiu ziemskiemu uroku nadaje; skazująca się dobrowolnie na nędzę i poniżenie z miłości dla Jezusa Chrystusa. Trzeba odwagi nadziemskiej, aby się wznieść tak wysoko; lecz tę odwagę znaleźć może każdy, kto sobie Zbawiciela świata za wzór do naśladowania obierze.

Małgorzata obudziła się ze wschodem słońca, i pożegnawszy uprzejmie rybacką rodzinę, poszła w dalszą drogę. Lecz jakże jej ta podróż uciążliwą być musiała! Ona, która w swém życiu nie szła piechotą, lecz w najprzepyszniejszych jeździła pojazdach, szła teraz z bosemi nogami przez ciernistą dro-

gę; słońce paliło ją przez nędzne odzienie, a głód i pragnienie dokuczały jój nieznośnie.

Lecz Bóg, któremu poświęciła te przykrości, nie odstępował jój i dodawał jój mocy i ochoty.

Około południa tak była znużoną, iż już dalej iść nie mogła. Opodal od drogi ujrzała małą chatkę; ocienioną rozłożystemi lipami, zbliżyła się więc do niej i nieśmiało otworzyła drzwi do nędznej izdebki, w której się dwie znajdowały niewiasty.

„Dla miłości Boga“, rzekła błagającym głosem, „proszę, udzielcie mi trochę chleba.“

„Nie mogę ci nic udzielić“, rzekła opryskliwie młodsza niewiasta. Małgorzata chciała się oddalić, lecz starsza z nich rzekła, obracając się do młodszej:

„Nie odmawiaj córko wsparcia, którego od ciebie w imię Boga żądają. Daj jój jałmużnę, by się za to modliła za twą starą matkę. O ja potrzebuję przebaczenia za grzechy, któremi w ciągu długiego życia mego obrażałam Boga. Moje dziecię“, mówiła dalej obracając się do Małgorzaty, „przybliż się do mnie. Ubodzy są najmilszemi dziećmi Boga; kto go kocha, powinien ich także kochać.“

Dziewica zbliżyła się do mówiącej. Była to zgrzybiała staruszka; jój twarz wyschła i żółkła poorana była zmarszczkami, jój oczy w głąb' zapadłe błyszczały niby dwie lampki dogorywające. Siedziała przy kądzieli obok kominka, lecz wrzeczono spoczywało nieczynnie na jój łonie, bo ręce były za słabe, by niém władać mogły.

„Usiądź tu przy mnie“, rzekła, a widząc, iż córka przyniosła nieznanomój kawałek suchego chleba, dała obracając się do niej: „Czy nie masz nic więcej do pokrzepienia téj ubogiej? Czy zapomniałaś, że i twa matka zmuszona była błagać o jałmużnę?“

Córka poszła niechętnie i przyniosła kawał suszonej ryby, który dodała do chleba Małgorzacie.

Podczas tego staruszka zdawała się pogrążoną w głębokim dumanii.

„Ach“, mówiła niby sama do siebie, „okropnie to wyciągać rękę po jałmużnę, gdy się dawniej żyło w obfitości i zbytkach. W mojej młodości nie pomyślałam o tém, że będę kiedyś żebraczką; nie kłopotalam się o przyszłość, nie myślałam, że jest Bóg, który karze tych, co go obrażają. Moja twarz była gładką i świeżą, i podobała się niejednemu, a podchlebstwa, które mi sypano, zawróciły mi głowę. Lecz ta próżność i ta miłość własna, były źródłem wszystkich moich obłąkań i zdrożności. Chociaż wzrok mój bardzo już słaby, zdaje mi się, że i ty piękna jesteś. Ach wierz mi, moje dziecko, piękność jest bardzo niebezpiecznym darem bożym, a zwłaszcza, gdy ją łachmany pokrywają. Ona zdradza próżność i chęć do stroju, a próżność wiedzie do zbrodni i rozpaczki. Próżność to rozdziera węzeł, który łączy stworzenie ze Stwórcą. Gdy ci ludzie powiadać będą, że jesteś piękną, nie słuchaj ich i pamiętaj, że piękność, którą oni wielbią, niczem jest w oczach Boga, bo on tylko na piękność duszy uważa. Niestety moim niewiedziałam o tém, mając lat ośmnaście. W czasie, kiedym żyła wśród zabaw i bogactwa, i była czczoną i wielbioną od wszystkich, co mnie otaczali, wybuchła wojna domowa; moi rodzice utracili cały majątek, i umarli ze zmartwienia, zostawiając mnie sierotą niezdolną do pracy, której się nienauczyłam. Przez grzechy więc usiłowałam pozostać w wygodnym i próżniackim życiu, aż nakoniec zmuszona byłam wyciągać rękę po jałmużnę do tych nawet osób, które na mnie z pogardą patrzyły.“

Staruszka przestała mówić. Zdawało się, iż bolesne wspomnienia głos jęj tłumily, lecz po chwili milczenia tak mówila dalej:

„Nie wiem, moje dziecię, przez jaki przypadek zostałaś pogrążoną w tęg nędzy, lecz poznać łatwo, żeś dawniej żyła w dobrem mieniu. Brzemię nędzy jest tém cięższe, gdy następuje po blasku złota i stroju. Ze wstydem na czole i rozpaczą w duszy żebrałam ja, i bardzo długo to trwało zanim się dałam oświecić Bogu, iż on tę karę zesłał na mnie. Nie wiem, lecz zdaje mi się, iż los twój odmiennym jest od mego; że nędza, którą On zesłał na ciebie, jest tylko środkiem, by korona zwycięztwa, którą ci w niebie gotuje, większego blasku nabrała. Przy tobie zdaje mi się lekciejszym ciężar grzechów moich; zdaje mi się, iż Bóg zesłał mi ciebie, by mi uczynić śmierć mniej gorzką i przykrą.

„Tak“, mówiła dalej, „godzina męj śmierci nadeszła. Moja córko, idź do naszego plebana i proś go, by przyszedł dać mi ostatnie.....“

Córka spojrziała na nią z zadziwieniem, bo nieznajdowała w niej żadnej widocznej odmiany, lecz na jęj usilne prósy udała się w drogę.

„O proszę cię, nieoddalaj się odemnie, módl się za mną w tęg ostatniej godzinie“, mówiła staruszka, wyciągając błagalnie ręce ku Małgorzacie, i jakby duchem proroczym dodała: Tak, tak, widzę dobrze, iż ty jesteś wybraną od Boga, która z nim kiedyś w niebie królować będziesz, i którą on już za życia za swoją obrał służebnicę. Proś go ty za mną, twoja czysta dusza zdoła przebłagać może gniew jego.“

Małgorzata była niewymownie wzruszoną. Słowa staruszki przejęły drżeniem radosnem jęj serce. Ukłękła więc w milczeniu i w gorących modłach dusza

jój wzniosła się do tego Boga, który był jedynym celem jój żyćzeń.

Długa rozmowa zdawała się męczyć staruszkę. Pochyliła głowę na piersi, zamknęła oczy, usta jój zsiniały i wszystkie oznaki śmierci osiadły na jój zgrzybiałej twarzy.

Złęknona Małgorzata zbliżyła się do niej i chciała zaprowadzić ją do łóżka, lecz staruszka odpowiedziała słabym głosem: „O nie myśl o mém cieiele, lecz módl się za mą duszę.“

Dziewica uklękła i zaczęła odmawiać modlitwy nad umierającymi. Gdy nadszedł pleban, staruszka zebrała jeszcze tyle mocy, iż się wypowiedać zdołała i przyjęła Sakrament św., lecz po kilku chwilach skonała.

Podczas tego wszedł do izby silny wieśniak, zięć zmarłej, z dwoma synami. Małgorzata niechcąc dłużej być ciężarem téj biednej rodziny, pożegnała ją uprzejmie i opuściła chatkę. Pograżona w głębokiém dumaniu nad tém, co słyszała z ust staruszki, szła ciągle dalej, nie mając właściwego celu podróży przed sobą.

---

#### ROZDZIAŁ IV.

---

Tak szła przez kilka dni i nocy, prosząc litościwych ludzi o kawałek chleba, gdy jój głód nazbyt dokuczał. Jój myśl zajęta była ciągle widokiem umierającej staruszki. „Kto wie“, pomyślała, „czy w świecie wśród tych wielkości i zaszczytów niebyłabym także upadła tak nisko, jak ta niewiasta?“

Pycha, ten grzech okropny, który nawet aniołów

do upadku przywiódł, może byłaby o władnęła me serce. Może wpadając w jeden błąd z drugiego, byłabym doszła do śmierci wiecznej. Jakże okropny rachunek byłabym musiała zdawać Bogu mojemu, i jakże byłabym mogła znieść straszliwy i zagniewany wzrok Jego!

Małgorzata oddaliwszy się tak daleko od Paryża, iż już nielekka się napotkać dawnych znajomych, zaczęła przemyślać nad tém, jakimuby się poświęcić zatrudnieniu, by nie być zbyt wielkim ciężarem swym bliźnim. „Biedni“, mówiła ona, „tracą przezemnie część im się należąca, a ja mam sił dosyć, by sobie zapracować na życie. Odtąd niewstępowała już do domu dla samej tylko jałmużny, lecz prosiła przy tém o jaką robotę. Być pasterką, krowiarką, najpodlejszą służebnicą, nic nie było dla niej poniżającym. Ta, która obrała się dobrowolnie z bogactw i tytułów, niewstydzila się żadnej pracy. Czuła w sobie siłę i odwagę nadziemską, i nie ję się dość trudnym niezdawało.

Podczas swej długiej i uciążliwej podróży, nie odpoczywała nigdy więcej nad trzy godziny w dzień, a nocowała zwykle na słomie w chlewie lub stodole.

Jednakże ludzie lękali się przyjąć w służbę nieznaną osobę i odsyłali ją z niczem. Lecz Małgorzata poddawszy się pod opiekę boską, szła śmiało naprzód, nietracąc nadziei, że znajdzie schronienie, jakiego szuka. To mocne zaufanie w Opatrzność boską nie omyliło ją. Pewnego razu spotkała w drodze dwóch księży, którzy widząc ją tak piękną, młodą i okrytą łachmanami, przerażeni byli niebezpieczeństwem, na które wystawiała ją ta piękność.

„Jesteś młodą i zdajesz się zdrową, dla czegoż błąkasz się po świecie i nie szukasz zatrudnienia,

przez które mogłabyś sobie zarobić na życie?“ zapytał jeden z nich.

„Szukam służby“, odpowiedziała młoda dziewczyna, „lecz dotąd nikt mnie przyjąć niechciał.“

„Jakąż umiesz robotę?“ zapytał duchowny.

„Umiem nie wiele“, odpowiedziała skromna dziewczyna, „lecz zdaje mi się, iż mogłabym się podjąć służby za pokojówkę lub tém podobnej.“

„Znam jedną panię“, odezwał się drugi duchowny, „która potrzebuje służącej. Jest ona bardzo majątną i mieszka tu ztąd o mil kilka. Lecz muszę wprzód dowiedzieć się, czy jesteś poczciwą i żyjesz po chrześcijańsku, bo nie chcę, by mi wyrzucano, żem przyprował w dom komu ladaco.“

„Staram się“, odpowiedziała skromnie dziewczyna, „żyć podług przykazań bożych, a lubo bardzo jestem ułomną, pragnę szczerze doskonalić się ciągle w życiu chrześcijańskim. Bądźcie pewni, szanowny ojcze, iż nie dam wam powodów do żalowania, iżście się mym losem zająć raczyli.“

Ta odpowiedź tak się spodobała plebanowi, iż nie namyślając się dłużej, zaprowadził ją na probostwo, pożyczył dla niej skromną, lecz chędogą odzież, i w kilka dni później posłał ją do onej pani na służbę.

Była to osoba mająca przeszło lat pięćdziesiąt. Żyła bardzo regularnie, wypełniała skrupulatnie wszystkie powierzchowne przepisy religii, lecz surowa dla siebie, tém surowszą była dla wszystkich, co ją otaczali. Wymagająca, grymasna, mrukliwa, podejrzliwa, skąpa i cheiwa, nie mogła utrzymać służących nigdy dłużej, jak kilka tygodni. Ci, których sama nie odprawiała, uciekali pokryjomu, lub oddalali się z płaczem i kłtwą.

Gdy jej Małgorzatę przedstawiono, rzekła po-

gardliwie: „Jesteś jeszcze bardzo młodą, a terazniejsze młode dziewczyny są zwykle wielkie lekkomyślnice, jakich ja bardzo nie cierpię; przytém nie myślą nawet o posłuszeństwie, wołałyby rozkazywać, niżeli słuchać. Na zalecenie księdza proboszcza przyjmę cię na próbę, lecz za najmniejszym przekroczeniem będziesz niezwłocznie oddaloną. Przedewszystkiem powinnaś być skromną i niezalotną, za takie rzeczy zwykłam karać jak najsurowiej.“

Takie przyjęcie było zaiste nie bardzo zachęcającem. Każda inna, nie Małgorzata, byłaby się zraziła tym tonem rozkazującym i dumnym; temi słowami pełnemi podejrzenia, do których żadnego nie dała powodu. Lecz Małgorzatę nie odstręczało to wcale, przeciwnie cieszyła się, iż dostanie panię, przy której będzie się mogła ćwiczyć w tych cnotach tak miłych Bogu: pokorze i cierpliwości.

Słuchała z radością tych słów obelżywych i przykrych, bo pamiętała o tém, że i Jezus Chrystus był obwiniany przez Faryzeuszów o hipokryzyą, On, którego miłość dla ojca swojego w niebiesiech tak była czystą i gorącą; że był oskarżony o psucie obyczajai, On, którego każda czynność była najwznioślejszym wzorem do naśladowania przez tysiące wieków. Cieszyła się, iż jój cnota podejrzaną była, choć dla zachowania czystości poddała się dobrowolnie nędzy i ubóstwu. Więc téż obrażające słowa nowój swój pani przyjęła z słodkim uśmiechem, jak gdyby mówić chciała: „Cieszę się, że mnie obrażasz i dziękuję ci za to.“

Zaraz więc nazajutrz wstąpiła w swój nowy zawód. Od szóstój do ósmój zrana ubierała swą panię, trefiła i przyprawiała jój obce warkocze, przypinając je kosztownemi szpilkami; wkładała na nią

wstążki, koronki i różne błyskotki. Potem uprzątnąwszy pokoje, towarzyszyła jej na przechadzkę, gdzie zwykle nieść musiała na rękę pieska faworyta, by sobie nóżek niepobłocił. Gdy wróciła do domu, zajmowała się praniem i prasowaniem, do czego z początku bardzo mało okazywała zręczności.

Małgorzata wypełniała wszystko z niezamordowaną pilnością i ochotą, jednakże ciągle odbierała nagany. Gdy zamiatała, pani łajęła, że nieuważnie rzuca miotłę i podnosi kłęby kurzawy; gdy wolniej zamiatać zaczęła, dostawała burę, że połowę śmieci zostawia za sobą. Za najmniejszym przewinieniem robiła jej najprzykrzejsze wyrzuty. „Wszystko mi marnujesz, krociove majątki niewystarczyłyby na twoje rządy; odtąd jak jesteś w moim domu, jestem jak człowiek, którego złodzieje okradli. Ty wszystko niszczysz, wszystko marnujesz.“

Gdy Małgorzata chciała co wyrzec na swoje uniewinienie, wołała pani, największym zapaloną gniewem:

„Jaka to impertynentka! ja ci się nie pytam, co ja czynię; lecz ganię, co ty czynisz. Powiadam ci, że nie cierpię ludzi, którzy się ważą mi odpowiadać. Pamiętaj o tém, jeżeli nie chcesz być wyrzuconą na ulicę, zkąd mi cię w dom przyprowadzono.“

Z początku służba Małgorzaty była tylko nieprzyjemną, lecz później stała się bardzo uciążliwą. Powoli wszyscy służący zostali poodprawiani i Małgorzata musiała obstać za wszystkich. To musiała ubierać panię, to trudnić się kuchnią, i często do północy pomywać statki. Przymiętą była co chwile dla najdrobniejszych posług odrywaną od roboty. Od rana do późnej nocy była ona w ciągłym udreżeniu. Małgorzata nie umiała gotować, a jej pani

dobrze jeść nad wszystko lubiła; lecz chociaż jej obszernie rozpowiadała, jak ma co być zrobionem, niepokazała jej nigdy osobiście. Więc też Małgorzata, która dawniej żadnego wyobrażenia o gotowaniu nie miała, błędziła często, a pani w gniewie rzuciła jej nie raz cały półmisek na głowę, lub biła ją nielitościwie. Cóż wtenczas czyniła Małgorzata? z największą pokorą przyjmowała plagi i całowała ręce swęj pani, obiecując poprawę.

Nakoniec pani odprawiła służącego, a Małgorzata i tego służbę na siebie przyjąć musiała. Pracowała tak ciężko, że zaledwie w nocy kilka godzin spoczynku miała dla siebie; lecz ona wypełniała wszystko bez szemrania. Najboleśniej jej było, iż nie miała ani jednęj chwili, którąby na modlitwie przepędzić mogła. Jednakże pocieszała się tém, że najmiłszą modlitwą Bogu jest wypełniać wiernie wszystkie powinności, które wola jego zesła na nas. Nie mogąc klęczący błagać Boga, wznosiła podczas pracy duszę swą ku niemu. Jej ciało było w jarzmie ziemskim, jej serce i dusza były u Boga, i właśnie to wzniesienie ducha dodawało siły jej członkom, do żadnych nieprzywykłym trudów.

Przez dziesięć lat wiodła to życie pełne trudów i mozołów, i przez ten długi przeciąg czasu, spędzony przy ciężkiej pracy i gorzkim jarzmie zlej pani, nabyła nietylko niezmierny zasób cierpliwości, ale i wiele siły fizycznej. Jej niczém niewzruszona słodycz i łagodność, rozbrajała nie raz jej złośliwą i grymasną panię i zmuszała ją do rumienienia się za wybuchy swęj złości. Lecz te chwile poprawy przemijały prędko i wkrótce znów powracał ten charakter zepsuty do swęj zwykłej uporeczywości. Jednakże nadszedł nakoniec czas jej wyzwolenia. Pani jej za-

chorowała raz ze złości i po kilkomiesięcznej chorobie umarła. Nie będziemy tu opisywali wszystkich czułych starań i pielęgnowań, które Małgorzata łożyła w jej chorobie. Nigdy matka nie była troskliwiej pielęgnowaną od swych córek. Lecz Bóg dozwolił jej zato doczekać się tej pociechy, iż pani jej zmieniła przed śmiercią swój sposób myślenia, żałowała za grzechy, przepraszała jaknajczuliej Małgorzatę za wszystkie przykrości, które jej w życiu wyrządziła, i umarła jako prawa chrześcijanka. Wkrótce przed śmiercią oddała Małgorzacie znaczną sumę pieniężną, którą pobożna ta sługa rozdała całą pomiędzy ubogich.

Po śmierci swój pani Małgorzata udała się do miasta Auxerres, by sobie nową poszukać służby. Z ujmującą powierzchownością nie trudno jej to było, i wkrótce dostała się do domu bogatego rzemieślnika, który był zarazem stolarzem i snycerzem, co w owych czasach, gdzie prawie wszystkie sprzęty robotą snycerską ozdobione były, nie było nic rzadkiego. Bóg prowadził niby za rękę tę duszę wybraną w tak rozmaite położenia, by spełnić swe wielkie z nią zamiary.

---

## ROZDZIAŁ V.

---

Życie, które snycerz w Auxerres prowadził, było zupełnie odmienne od tego, jakie Małgorzata w pierwszej swój służbie zaznała. Pomieszkanie całe składało się z dwóch pokoi i pracowni, a pożywienie zdrowe i skromne nie wiele zadawało jej pracy. On i żona jego byli już w podeszłym wieku i bezdzietni.

Trzymając tylko jedną sługę obchodzili się z nią jak z własnym dzieckiem i nie żądali nic coby nad jej było siły. Małgorzata przywykła do ciężkiej i rozlicznej pracy, pokończyła codziennie bardzo prędko naznaczone jej zatrudnienia. Było jej to bardzo niemiło, że tak swobodne mogła pędzić życie, i żałowała tych nocy, które na ciężkiej pracy spędzać musiała; tych plag, które dla miłości Jezusa tak chętnie ponosiła. Kiedy prawie wszyscy ludzie uważają pracę za coś przykrego i najchętniej oddają się spoczynkowi, ona przeciwnie ukochała pracę i wszelkie dolegliwości tego życia. Pokończywszy swe zwykłe zatrudnienia, błagała prawie swe państwo, by jej nową dostarczali roboty.

Pewnego dnia, gdy podług zwyczaju przyszła do pracowni mistrza, prosząc go o jakie zatrudnienie, ten rzekł z uśmiechem: „Kiedy mnie tak nalegasz o robotę, to pójdz tu do mnie, weź dłóto i pomóż mi wyciosać tej figury. Małgorzata przystała na to chętnie i zajęła się z taką zręcznością ciosaniem drzewa i marmuru, że snycerz przypatrywał jej się z największym podziwieniem i przyjął ją odtąd do swojej pracowni. Oprócz korzyści pieniężnych, które miał z tak taniego robotnika, snycerz znalazł jeszcze większą przyjemność w tém, iż pracując obok niego Małgorzata, miała więcej sposobności rozmawiania z nim o rzeczach tyczących się zbawienia. Wszystkie jej zdania zawierały w sobie tak wiele przekonującej prawdy, miały tyle uroku i wdzięku, przemawiały duszę tak słodką tęsknotą za niebem i jego rozkoszami, iż stary snycerz z rozrzewnieniem słuchał ją tak mówiącą i mimowolnie uwielbiał tę osobliwą istotę, która prosto z niebios zesłaną być się zdawała.

Pocziwy mistrz odkrywszy w niej tak niepospolity talent do snycerstwa, postanowił dawać jej lekcye rysunków. „Umiejąc rysować, będziesz mogła samodzielnie tworzyć rozmaite przedmioty“, mówił.

Małgorzata będąc jeszcze w swym świetnym stanie, uczyła się była rysować i wielki do tego okazała talent, łatwo więc jej teraz było przypomnieć sobie, więc też podziwienie mistrza było niezmiernem nad jej zadziwiającemi postępami. Wrysowała kilka bardzo pięknych obrazów, jako to: obraz Matki boskiej, Narodzenie Pana Jezusa, adoracyą Trzech Króli i t. p. Te wszystkie obrazy zachowane zostały w rodzinie snycerza z Auxerres, i dopiero podczas rewolucyi francuzkiej, gdy dom jego zburzono, zostały i te święte pamiątki zniszczone. W snycerstwie tak się wydoskonaliła Małgorzata, że co do pomysłów, pełnych pięknych i wzniosłych myśli, przewyższyła o wiele swego mistrza, który przy każdej nowopodjętej pracy rady jej zasięgał. Pokazują jeszcze we Francyi, w kościele OO. Kapucynów w W., ozdoby na wielkim oltarzu niezmiernie wielkiej artystycznej wartości, przez nią wykonane.

Przy swoich pracach Małgorzata niezaniebrywała chwały bożej ani na chwilę. Ćwiczenia pobożności wypełniała z najskrupulatniejszą troskliwością. Nie tylko, że z swém dobrém państwem podług ówczesnego zwyczaju wspólnie odprawiała modlitwy raniem i wieczorem, ale nieopuszczała żadnej mszy św., a kiedy wszyscy udali się na spoczynek, ona na długich modlitwach i rozmaitych umartwieniach ciała przepędzała większą część nocy.

Małgorzata nieczyniła nic bez wiedzy swego spowiednika, czcigodnego Ojca Benedyktyna, w którym całe swe pokładała zaufanie. Ten wiedział dobrze

o jej znakomitým urodzeniu, można mówić, iż przeczuwał wielkie zamiary, które Bóg miał z swoją wybraną, i wspierał ją silnie na drodze ku zbawieniu. On cieszył się jój cierpliwą wytrwałością w służbie u złej pani, on pochwalał jój prace snycerskie i wstrzymywał ją, gdy zapal pobożności za nadto ją unosił.

Lecz Małgorzata, która ukochała cierpienia i przykrości ziemskie, czując się za nadto swobodną i szczęśliwą u ludzi, którzy ją jak własne polubili dziecko, postanowiła zostać z nimi na wieki. Ale dokąd miała zwrócić swe kroki? — Po długim namyśle przedsięwzięła udać się do Paryża. Od dwunastu lat, gdy była ztąd wyjechała, dawno ją tam już wszyscy zapomnieli, bo do tego wiek i praca zupełnie ją zmieniły. Oznajmiła więc państwu swój zamiar i prosiła, by ją nie zatrzymywali dłużej w swym domu.

Było to bolesne rozstanie; mistrz i żona jego płakali żegnając się z nią, jak gdyby własną ich była córką. Nie było w ich żalu żadnej rachuby; nie chodziło im wcale o pieniądze korzyści, które tak biegła współpracownica im przynosiła; lecz żalowali enotliwój i pobożnej dziewczyny, która im życie umiała i blaskiem swój doskonałości oświecała ich starość.

„Bywajcie zdrowi“, mówiła Małgorzata przy rozstaniu, „wkrótce zobaczymy się znowu.“

„Tak, u Boga zobaczymy się znowu,“ mówił snycerz ze łzami; „tam to dusze tych ludzi, którzy się kochali na ziemi, złączone zostaną węzłem wiecznej miłości.“

Przed odjazdem wręczyli jój państwo znaczną summę pieniężną, którą z jój zasług uskładali dla

nię. Lecz rozdała wszystko co do grosza pomiędzy ubogich i o żebrany chlebie udała się w drogę.

Przybywszy do stolicy Małgorzata, zachorowała ciężko na żółciową febrę, i oddaną została do szpitala nazywanego „Hôtel Dieu“. Ten szpital, który w dzisiejszych czasach urządzony jest jaknajwspaniałej i jaknajwygodniej, był wówczas w bardzo lichym stanie. Założony przez św. Leandra, biskupa paryzkiego, w ósmém stóleciu, wznosił się powoli. Ze tylko duchowienstwo samo łożyło na niego, a że bardzo znacznych potrzeba było na to wydatków, dla tego chorzy nie mogli mieć potrzebnych wygod. Kilka tylko salonów było opatrzonych w łózka i materace, a gdy te zajęte były, reszta chorych musiała być pomieszczona w stodółach należących do zakładu. Tam to właśnie dostała się Małgorzata. Leżąc pomiędzy zgrają niewiast z najniższych warstw społeczeństwa, biedna chora słuchała z przerażeniem klątw i złorzeczeń rozmaitego rodzaju, któremi chore usiływały sobie ulżyć w boleściach i cierpieniu.

To towarzystwo osób najgorszych obyczajai, nie mających nawet wyobrażenia o religii, które zdawało się być w ciągłej walce przeciw woli bożej, zatruwało ję każdą chwilę, i tak już pełną rozmaitego cierpienia. Więć tęż gdy tylko trochę zaczęła przychodzić do zdrowia, zajęła się oświecaniem tych biednych, w głębokiej ciemności pogrążonych istot. Mówiła im z takim przekonaniem i z tak żywą wiarą o Bogu, jęgo opatrności i jęgo rozrządzeniach; o tēm, co Syn boski, zesłany na świat, cierpiał dla naszego zbawienia; ję słowa tchnęły taką rzewną miłością Boga i bliźniego, że te serca ozięble i obłąkane wkrótce przejęte zostały nieznanemi dotąd uczuciami. Przez swój przykład zupełnego poddania się

woli bożej zdołała wszystkie swe towarzyszki na lepszą naprowadzić drogę. To nawrócenie, które za cud uważać można było, bo daremnie starały się o nie zakonnice, nappełniało niewymowną rozkoszą pobożne serce Małgorzaty. Lecz daleka od chelpienia się z tego, dziękowała jaknajpokorniej Bogu za to, iż jój dozwolił być bliźnim użyteczną.

W miesiąc później stodoła, w której Małgorzata leżała, przedstawiała zupełnie inny widok. Wszystkie chore przejęte były najszczerzszym uczuciem pobożności; zamiast klątw i złorzeczeń, wznosiły się pobożne westchnienia, modlitwy i pieśni ku Bogu.

Po sześciotygodniowym pobycie w szpitalu, Małgorzata, lubo jeszcze bardzo słaba, oddaliła się z niego, niechcąc dłużej zajmować miejsca więcej od niej cierpiącym.

Niemogąc w wielkiej stolicy znaleźć stósownego zatrudnienia Małgorzata, zmuszona była u drzwi kościółów błagać o jałmużnę.

Tam napotkała ją raz u jednego nauczycielka szkoły w Chateaufort, w bliskości Paryża będącej. Ta osoba wielkiego wykształcenia i pobożności zajęła się bardzo ubogą, bladą dziewczyną.

Jest to niezaprzeczoną prawdą, iż dusze oddane Bogu czują ku sobie pociąg mimowolny. Za pierwszym spojrzeniem na nędzną żebraczkę, szlachetna nauczycielka poznała w niej coś niepospolitego. Wdawszy się z nią w rozmowę, tak była zadowolnioną jój odpowiadaniem, tchnącym tak wielkim rozumem, skromnością i pokorą, że ją zabrała ze sobą do swego zakładu, mówiąc, iż powietrze wiejskie posłuży jój do témpreszszego wzmocnienia po tak ciężkiej chorobie.

Tutaj to zapoznała się Małgorzata z owym sławnym zakonnikiem, ojcem Dubray, do którego to jój

listy, w późniejszych czasach pisane, świadczą o nieomylnjéj prawdzie wszystkich przygód, wyliczonych w téj naszej powiastce.

Małgorzata czciła z uczuciem dziecięcjéj miłości swego spowiednika. Otworzyła mu całkiem swe serce, nieukrywając przed nim żadnego szczegółu z swego życia. Słyszając go mówiącego, zdawało jéj się, iż słyszy głos samego Boga. Żył więc w błogiéj spokojności w tém przekonaniu, iż słuchając we wszystkim rad jego, zbliżała się pomалу do téj szczęśliwości, która była jedynym jéj celem.

Niewiemy z pewnością, jak długo zostawała w Chateaufort, lecz to jest pewném, iż tam to przyszła jéj myśl udania się w odległe strony i pędzenia życia pustelniczego. Wspominała często o tém swemu spowiednikowi, lecz nie mogła osiągnąć jego pozwolenia, bo ten człowiek światły i rozsądny przedstawiał jéj, iż życie użyteczne współbliźnim i przykład dobry im dawany, milsze są Bogu, niż zupełne oddalenie od świata. Jednakże nie mogąc się oprzeć jéj naleganii, zezwolił nakoniec na jéj oddalenie się od ludzi, pod tym jednakże warunkiem, by przynajmniej listownie wolno mu było dowiadywać się o jéj powodzeniu i rad jéj udzielać.

## ROZDZIAŁ VI.

Małgorzata musiała odprawiać długie podróże, zanim znalazła zakątek, jakiego sobie życzyła. Francya była natenczas teatrem ciągłych wojen. Anglicy, Belgijcykowie, Niemcy, napadali ją na przemian. Podróżować więc w tych czasach było bardzo niebezpiecznem dla niewiasty saméj jednéj. Jednakże Małgorzata przy pomocy boskiej zdołała zwyciężyć

wszelkie przeciwności i dostała się nakoniec na brzegi Gujenny. To wybrzeże rozciąga się na dziesięć mil długości i dwadzieścia pięć szerokości nad morzem atlantyckiem. Jest to nieprzejrzana okiem piaszczysta płaszczyna, pokryta gdzie-niegdzie lasami jodłowymi lub trawą nędzną i zeschlą, wystarczającą za ledwo na pożywienie trzodom kóz i owiec. W lecie słońce rozgrzawszy swemi promieniami miałki piasek, czyni go podobnym do gorącego popiołu, który z Wewuziusza się sypie, lub gdy wiatr zachodni od morza dąć zacznie, wtenczas wznoszą się kłęby kurzu, pochłaniające wszystkie znajdujące się w bliskości przedmioty. Idzie się tam przez dni całe, nienapotkawszy żadnego ludzkiego mieszkania, nieusłyszawszy głosu żadnej istoty żyjącej, bo nawet ptaszyny stronią od tych miejsc, które im ni cienia, ni żeru dla piskląt swoich dostarczyć nie zdołają. Dostawszy się na te rozległe płaszczyny, gdzie oko nie napotyka nic prócz martwego piasku, dusza czuje się przejętą głębokim smutkiem i tęsknotą, a serce ściska jakieś bolesne uczucie, jak gdyby w krainie śmierci gościła.

Małgorzata nie wiedząc, że we Francyi znajdują się takie straszliwe pustynie, zapuściła się coraz dalej w te odludne strony. Lecz gdy straciła z oczu urodzajne łąny, gdy stopy jój coraz głębiej w piasku się zanurzały, a promienie słoneczne nieznośnie dopiekały, strach niezmierny zaczął ją przejmować.

Jednakże nie tracąc nadziei w opatrzność boską, szła śmiało naprzód. Rzęsiste krople potu płynęły z jój czoła, a pragnienie nieznośnie jój dokuczało. Daremno śledziła oczyma, czy nie ujrzy drzewa, w którego cieniu odpocząćby mogła; jakiej rośliny, która by jój pragnienie złagodziła. Jój odwaga dodawała jój długo sił nadprzyrodzonych, lecz nakoniec znu-

żona i osłabiona upadła na kolana, modląc się w tych słowach:

„Jeżeli mi, wielki Boże, przeznaczyłeś śmierć w tej straszliwej pustyni, poddaję się chętnie woli twojej. Ty jesteś panem życia i losu mojego, lecz jeżeli raczysz ulitować się nad najędźniejszą z służebnic twoich, zezwól, bym nie umarła tutaj bez przyjęcia sakramentu ś., prowadzącego na drogę żywota wiecznego. Uczyni mi tę jedyną łaskę, a potem zezwól, by stęskniona dusza moja mogła oglądać przeświète oblicze twoje.“

Zaledwo skończyła tę modlitwę, gdy uczuła się wzmocnioną cudownie. Szła znów śmiało naprzód pewnym krokiem. Głód i pragnienie przestały ję dokuczać, promienie słoneczne chłodzić się ją tylko zdawały.

Po kilkogodzinnej wędrówce, gdy słońce już się ku zachodowi schylało, spostrzegła w oddaleniu kilka drzew, których świeża zieloność oznajmiała źródło w pobliżu. Poszła w tę stronę i ję nadzieje nieomyliły ją. W cieniu drzew rozłożystych, pokrytych dojrzałym owocem, płynął strumyk, czysty jak kryształ. Na jego brzegach krążyły ścieżki powysadzone woniącemi ziołami, i były grządki pełne jarzyn i kwiatów. Opodal stała mała szopka w cieniu wypróchniałego buku i kilka ulów pszczółek, które swym jednostajnym brzękiem przerywały powszechną ciszę.

Wszystko oznajmiało, iż ręka ludzka swą pracą upiększyła to odludne ustronie. Widząc, że te miejsca były niby oazą w pustyni, a że wokoło otaczała je taż sama przestrzeń piaszczysta, Małgorzata postanowiła przemocować tutaj; usiadła więc w cieniu drzew, zmówiła swe wieczorne modlitwy i wkrótce sen słodki i pokrzepiający skleił ję powieki.

Zaledwo jutrzeńka swym różannym blaskiem świat oblała, kiedy Małgorzata zbudzoną została ze snu śpiewem pięknego głosu męskiego. Słuchając z niezmierném podziwieniem, poznała owę piękną pieśń pobożną: *Super flumina Babylonis.*\*) Któż inny, jak jaki pobożny pustelnik, mógł się w tych miejscach znajdować? — „Bóg to zsyła mi tego przyjaciela“, pomyślała, „by mnie nauczył, jak sobie mam postępować na drodze, którą obrałam.“ Ochoczo wstała i poszła w stronę, z której głos przychodził. W cieniu rozłożystego buku, na zielonej murawie, siedział pustelnik, mając twarz zwróconą ku wschodzącemu słońcu. Głowa jego była niepokryta, a ciemnoblonde włosy obfite pierścienie spadały mu w nieładzie na ramiona. Lubo odziany był grubą odzieżą, postać jego była wspaniałą i pełną gracyi. Małgorzata długo mu się przez liście drzew przypatrywała zdaleka, przysłuchując się z zachwyceniem jego śpiewom, w których się przebijało wzruszenie okazujące, że nie tylko usta śpiewały, lecz i serce czuło owę tęsknotę za ojczyzną niebiańską, z której żaden nieprzyjaciel wygnać nas nie zdoła.

Gdy skończył śpiew pustelnik, wziął motykę i jął się do kopania. Małgorzata zbliżyła się teraz do niego i rzekła z pokorą: „Dobry ojczy . . . .“ Lecz nagle przestała mówić, zdziwienie i pomieszczenie głos jój odjęło, śmiertelna bladeść okryła jój lica, a mimowolne drżenie przejęło jój członki, bo w owym pustelniku poznała Seweryna, hrabiego de Rochefort. Pustelnik spojrział na nią uważnie, poznał ją i rzekł głosem pełnym słodkiego wzruszenia: „Nie lękaj się niczego Małgorzato Mont-

\*) „Nad brzegiem Babilonu“. Psalm.

morency. Nie jestem już owym hrabią Sewerynem, którego, by ująć zalotom, opuściłaś świat i jego wielkości. Ten, który, by tobie stać się podobnym, poddał się ostrój pokucie, który później na godność kapłańską wyniesiony został, nie może już inaczej kochać Małgorzaty, tylko tak, jak każdy chrześcijanin kocha brata swego. Bądź więc siostrą moją i połóż we mnie zaufanie.“

Małgorzata uspokoiła się prędko. Miejsca, w których spotkała hrabiego; jego ubiór zakonnika, jego poważna postawa; wzbudzały w niej zamiast dawniejszego wstrętu, uczucia najżywszej czci i szacunku. Pomyślała, że to Bóg sam zgotował jej to spotkanie, i pełna zaufania dla człowieka, który zdołał tak wielkie zrobić poświęcenie, prosiła go o radę względem swego zamiaru prowadzenia życia pustelniczego.

Hrabia Seweryn ucieszony niewymownie tak niespodzianém znalezieniem Małgorzaty, której zniknienie było dotąd nierozwiązaną zagadką dla ludzi w wielkim żyjących świecie, prosił ją, by mu opowiedziała przygody swego życia od czasu rozstania się z swą rodziną i przyjaciółmi. Usiedli oboje na darniowej ławeczce opodal strumyka. Małgorzata skreśliła mu wiernie wszystko, co przeżyła.

Uwielbienie, które hrabia czuł zawsze dla niej, wzmocniło się jeszcze przez jej opowiadanie. Pochwalił jej zamiar prowadzenia życia pustelniczego, i radził, by się udała wśród gór pyrenejskich, mówiąc, że tam znajdzie stósowny pobyt dla siebie. Potém przyniósł jej chleba, séra, mleka i owoców na śniadanie, i na jej prósy tak jej przygody życia swego opowiadać zaczął:

„Twoje zniknienie było dla mnie pierwszym gło-

sem Boga, który mnie wezwał do oderwania się od uciech światowych, do wzniesienia duszy mej do Boga, do rozmyślenia nad znikomością dóbr ziemskich. Wprawdzie zagłuszały to wezwanie długo: przywyknienie do życia wśród gwaru i burz światowych, i zupełna niezajomość wszystkiego, co się religii tyczyło; więc dusza moja bardzo powoli zwracała się do Boga.

„Moja boleść, gdy utraciłem cię na zawsze, była do nieokreślenia. Myśl, iż zły jaki człowiek, w którym wzbudziłaś gwałtowną namiętność, wydarł mi ciebie, zatruwała mi każdą chwilę. Jednakże gdy później niemożna było powątpiewać, iż opuściłaś dwór królewski, by się całkiem oddać służbie bożej, moja boleść ukoїła się, a miłość, którą czułem dla ciebie, zmieniła się w spokojne uwielbienie.

„Myśląc ciągle o tobie, postanowiłem nakoniec wstąpić w twoje ślady. Czemuż“, pomyślałem, „słaba dziewczyna miałaby mieć więcej mocy odemnie? Czemuż miałaby do większych niż ja zdolną być poświęceń? Czemuż ona, która nic niezawiniła, oddaje się ostrzej pokucie, a ja, grzesznik tak wielki, jęjbym się miał lękać? Lecz byłem wówczas podobny choremu, który czuje, że mu potrzebne lekarstwo, a zażyć go nie śmie, bo się lęka jego goryczy. Odkladałem od dnia do dnia moją poprawę i starałem się wśród uciech światowych boleść mą zagłuszyć.“

„Było to właśnie w tym czasie, kiedy we Francji wybuchła była wojna domowa, wywołana przez intrygi i niepochamowaną żądź władzy ministra i kardynała Mazariniego. Wszyscy znakomici ziomkowie nasi brali w niej czynny udział, jedni biorąc stronę królowej Anny, inni Mazariniego. Był to bój zacięty; strumienia krwi lały się na ziemi Francyi.

Książę Kondeusz Wielki przyłączył się z osobistej urazy dla królowej do kardynała Mazariniego. Ja byłem jego nieodstępny towarzyszem broni i odznaczyłem się w niejednej bitwie, przelewając krew bratnią. W tych to wojennych wycieczkach dostałem się po raz pierwszy w te strony, gdzie ciemne, ponure lasy, wśród piaszczystej pustyni, zdawają się wzywać grzesznika do siebie na pokutę.

„Kondeusz przedsięwziął później oblężenie Paryża, lecz szczęście nie posłużyło mu, i ujrzałem go teraz nie już podniecającego bunt i niezgodę w własnym kraju, lecz udającego się o pomoc do nieprzyjaciół ojczyzny. Dopóki tylko szło o przeniewierzenie się domowi królewskiemu, zostałem wiernym Kondeuszowi; lecz służyć pod chorągwiami Hiszpanów przeciwko własnej ojczyźnie, to mi się zdało zbyt podłym. Poróżniłem się z księciem i udałem się do dóbr moich, które już bardzo dawno opuściłem.

„Jeden z moich stryjów usiłował teraz pojednać mnie z królową. Lecz czegoż szukać miałem u dworu? Łaska boska oświecała mnie teraz; coraz to jaśniej i coraz to większą odrazę czułem do wszystkich wielkości i intryg światowych. Sława wojskowa zdawała mi się czczym dymem rachuby, a zabiegi dumy próżną pracą. Widziałem przed sobą grób tylko i myślałem sobie: Na cóż mi się zdadzą wszelkie światowe wielkości, kiedy tam one koniec swój znajdą? Cóż mi po nich, kiedy one przed tronem Boga wszechmocnego żadnej nie będą mieć wartości? Podziękowałem więc stryjowi i przedsięwziąłem poświęcić się odtąd służbie jedynego pana, któremu każdy człowiek służyć powinien.

„Powierzyłem me zamiary jednemu czcigodnemu kapłanowi, który mnie w nich tém bardziej umocnił.

Po kilkoletniej pokucie wstąpiłem do seminaryum i zostałem księdzem. Za radą mego spowiednika posprzedałem wszystkie me dobra, i pieniądze za nie zebrane rozdzieliłem pomiędzy ubogich, zostawiwszy sobie tylko tyle, ile potrzebowałem na niezbędną do życia potrzebę.

„Tak więc ja niegodny odebrałem moc sprowadzania z niebios w Sakramencie św. baranka bożego, moc wielką i wzniosłą, której nawet aniołowie niebiescy pozazdrościć muszą wybranemu, co tej godności dostąpił. Nim zostałem wyniesiony na godność kapłańską, musiałem ciężko za me przeszłe odpokutować życie. Lecz jakże wiele cięższy będę teraz musiał przed tronem Boga składać rachunek z odpowiedzialności, które przyjąłem na siebie.

„Trzy razy w tydzień chodzę do pobliskiego miasteczka odprawiać ofiarę mszy św. i słuchać spowiedzi. Potem proszę o jałmużnę, a gdy dostanę tyle chleba, ile mi na dni kilka wystarczy, powracam do domu i dzielam godziny mego życia na rozmyślanie, modlitwę i pracę około mego ogródka. Ach, jakże to życie nawet pod względem światowym miłszem jest, niżeli to, jakie w zamęciu świata pędziłem! Tutaj wszystkie burzliwe namiętności, które swemi zatrutemi szponami duszę mą rozdzierały, opuściły ją na zawsze. Tylko wspomnienia dawnych występków wyciskają często łzy z oczu moich, lecz słodka nadzieja przebaczenia gorycz ich łagodzi. Tutaj niepotrzebuję się korzyć przed nikim, tylko przed Bogiem. Tutaj wolny i spokojny zasypiam, chwając Boga, i wstaję z tém samém uczuciem.

„O, Małgorzato! samotność ma wdzięki i urok, których znaleźć nie można wśród zgielku świata. Chociażby nawet nie istniało niebo, ni piekło, za-

wsze byłbym jednak szczęśliwszy tutaj, niżeli w pysznych salonach królewskiego pałacu.“

Tu zakończył hrabia swe opowiadanie, które Małgorzata z wielkiem słuchała zajęciem. Potem rozmawiali jeszcze długo o miłosierdziu Boga, który nie chce śmierci grzesznika, lecz go przez różne przeciwności do światła prowadzi. Ich czyste dusze zatapiając się tak w tych pobożnych rozmyślaniach, wznosiły się wspólnie w krainy nadziemskie. Wokoło nich panowało głębokie milczenie, przerywane tylko szelestem wietrzyku wśród rozłożystych gałęzi, a promienie wschodzącego słońca oświecało ich niegdyś tak piękne, dziś trudami życia zwiędnięte twarze, na których malowały się natomiast piękne i wzniosłe uczucia, co ich dusze przejmowały.

Hrabia Seweryn po długiej chwili dumania wziął rękę Małgorzaty w swe spracowane dłonie i rzekł głosem, w którym się dźwięk czułości z dawnych czasów odbijał: „Małgorzato, już to zapewne po raz ostatni widzimy się w tém życiu. Moje przeczucie, mówi mi, iż ty będziesz wybraną od Boga, której czysta dusza zdoła niejednego grzesznika zaprowadzić na drogę zbawienia. Módl się więc za mną, za tym, który cię niegdyś kochał nad życie, i którego ta miłość czysta i święta wyrwała z kału występków, które go kazily. Oto masz tę relikwię, jest to kawałek drzewa z krzyża, na którym skonał nasz Zbawiciel, dostałem go niegdyś od Ojca świętego, teraz przelamuję go i tę połowę zostawiam dla siebie. Gdy będziesz modlić się patrząc na nią, przypomnij sobie, iż daleko od ciebie jest dusza, która razem z tobą wznosi swe modły ku niebu. A gdy po długich latach tęsknoty dostaniemy się do wspólnej dobrych ojczyzny, wtenczas dusze nasze połączą się

na wieki w światłości wiecznych i niepojętych rozkoszy niebieskich.“

Małgorzata ukłękła, by przyjąć jego błogosławieństwo i dar kosztowny, który jej przeznaczył. Gdy się podniosła kapłan podał jej rękę, którą pocałowała z pokorą i tak rozstali się, by już w tém życiu niespotkać się nigdy.

## ROZDZIAŁ VII.

Małgorzata szła teraz prosto ku Pyreneom drogą, którą jej wskazał pustelnik. Po długiej i uciążliwej podróży przyszła nakoniec do celu. Znalazła tam wąską dolinę, otoczoną zewsząd niebotycznymi skałami, ocienioną rozłożystymi drzewy. U stóp jednej z najwyższych skał, z której szczytu otwierał się prześliczny widok na dalekie okolice, wytryskało źródło czystej krynicy. W téj skale zaś były dwie pieczary. Z tych jedną obrała sobie pobożna pustelnica za mieszkanie, drugą przeznaczyła na kaplicę. Ta pustelnia oddaloną była o mil kilka od wszelkich ludzkich pomieszczeń, i otoczona gęstwiną i tak stromymi górami, iż zdawało się niepodobieństwem, by się tam ludzka stopa przedrzeć zdołała. Dzikich zwierząt niebyło w téj okolicy, tylko jelenie, sarny i dzikie kozy odwiedzały czasem Małgorzatę w jej ustroniu. Rozłożyste drzewa kasztanowe dostarczały jej owoców, również krzaki dzikich śliwek, które mają podobieństwo do naszych terek. Na skałach rosła leszczyna, i dostarczała jej orzechów. Temperatura powietrza była zawsze umiarkowana w tych stronach. Latem chroniły skały i cień drzew od

zbytecznego upału, zimą niemogły wiatry północne i burze dosięgnąć cichej doliny, osłonionej zewsząd skałami.

Tutaj zostały nakoniec spełnione wszystkie pobożne marzenia dziewicy. Oswobodzona z niewoli światowej, składała dzięki swemu Wybawcy z uniesieniem, jak Izraelici uwolnieni z niewoli babilońskiej. Wszystkie jej myśli i wszystkie życzenia zwrócone teraz były ku temu Bogu, który już od dawna był jedynym przedmiotem jej miłości. Pozostały nam dotychczas listy jej pisane z tych miejsc do jej spowiednika ojca Dubray, dla którego zachowała niezmienny szacunek. Te listy cechuje jakaś rzewna błogość i szczęśliwość z oddalenia się tak zupełnego od zgiełku świata tego.

Jedno tylko życzenie pozostało jej niespełnionem, to jest, iż niemogła codziennie słuchać mszy św. i spowiadać się co dwa tygodnie, jak to zwykle była czynić żyjąc pomiędzy ludźmi.

O milę po za lasem, gdzie mieszkała, było wprawdzie opactwo, lecz, jak się w swych listach wyraża, nie mogła pomiędzy zakonnikami znaleźć takiego, któryby jej zupełne zaufanie pozyskał. Nakoniec w inném jedném miasteczku znalazła proboszcza, który jednakże słuchał tylko wyznań jej grzechów, lecz ją radami niewspierał, na co się w jednym z swych listów uskarża. Ten list datowany z 12. Stycznia roku 1657 jest pierwszym z długiego rzędu listów do ojca Dubraya, które nam po tej błogosławionej pozostały niewieście.

Pustelnica zapoznała się z jednym poczciwym węglarzem, który te listy odnosił, i oprócz odpowiedzi przynosił jej od ojca Dubraya rozmaite drobne, niezbędnie do życia potrzebne przedmioty. Po-

między innemi igły, nici, a nawet młot i dłuto potrzebne do rzeźbiarstwa, którym to Małgorzata zapelniała chwile wolne od ćwiczeń religijnych.

Co do żywności, zaprzestawała ona na owocu, korzonkach i chlebie, uproszonym u pobożnych mieszkańców pobliskich wiosek.

Czyż można sobie wystawić okropniejsze położenie, jak niewiasty saméj jednéj wśród dzikiego lasu, gdzie nic nie slychać prócz szumu wiatru i wycia zwierząt, zwłaszcza wśród nocy. Lecz i przy jasnym blasku słońca jakaż to nuda, jaka tęsknota spędzać dnie, tygodnie, miesiące, nawet lata, w zupełnéj samotności. Cóż począć wśród dzikich skał od wschodu jutrzeńki aż do zmroku wieczornego? Człowiek materialny niezdola wprawdzie pojąć i zrozumieć tego, lecz kto kocha Boga nad wszystko, zatęskni mimowolnie za takim życiem, które go nie odrywa od tego wzniesłego przedmiotu jego miłości i dozwala mu ciągle wpatrywać się w oblicze jego. Małgorzata czuła się niewymownie szczęśliwą. Podzieliła sobie dzień pomiędzy modlitwę, pracę i rozmyślanie. Rzeźbiarstwo stało się jéj teraz najmilszą rozrywką, i dotąd w różnych kościołach we Francyi pokazują jeszcze rozmaite przedmioty wykonane przez tę świętą pustelnicę. Urządziła sobie także mały ogródek na wzór tego, jaki miał pobożny pustelnik na wybrzeżu Gujenny, i tu przed krzyżem Zbawiciela, na którym umieściła także relikwię od ojca Seweryna, spędzała długie chwile na gorącéj modlitwie i rozmyślaniu nad swém udoskonaleniem, nad wiecznością i wszechmocnością boską, z tak wielką pobożnością, jakiej spodziewać się można po duszy tak pięknej i czystéj. Po nad wieczorem wychodziła na przechadzkę w góry, niosąc pociechę i pomoc lekarską do chat

ubogich góralów, lub też zbierając zioła lekarskie i śpiewając pieśni pobożne.

Potém gdy ostatnie promienia zachodzącego słońca zgasły na zachodzie i mgła wieczorna okryła swą srebrzystą zasłoną góry i doliny, Małgorzata po gorących modłach udawała się na spoczynek, oddając swą piękną duszę w ręce Boga.

Pobożna dziewica przedsięwzięła swoją skałę urządzić na wzór Kalwaryi. Porobiła stacye i na każdej z nich wykula z kamienia inną część męki pańskiej. Na ostatniej, umieszczonej na samym szczycie skały, znajdowały się trzy krzyże. Na średnim Zbawiciela świata prawie w naturalnej wielkości, wykonany z niesłychaną sztuką artystyczną; obok niego dwaj łotrzy.

Lecz nie na tém koniec był jój pracy. W grocie, którą przeznaczyła na kaplicę, wykula z kamienia trzy ołtarze. Na jednym z nich był baranek boży, spoczywający na księdze. Na drugim imię Jehowa zawarte w trójkącie, na trzecim gołębek z rozszerzonymi skrzydłami, od których promienie światła się odbijały. Wnętrze grotty wyciosała tak, że kaplica podobną była do podługowatej rotundy. U wchodu zrobiła śliczne filary, ozdobione arabeskami. W ścianach wykula niże, a w nich umieściła figury Świętych, także jój rąk dzieła.

Lecz własne swe mieszkanie zaniedbała całkowicie. Tam były ściany tak zimne i wilgotne, iż z tej przyczyny dostała dolegliwego rwania po wszystkich członkach, i dopiero gdy ojciec Dubray rozkazał jój surowo mieć staranie o swém zdrowiu, zrobiła sobie z desek podłogę, a ściany obsłała mchem i suchém liściem.

Zakończymy ten rozdział wzmianką, że wszystkie te prace, które mogłyby służyć jako pomniki

nieśmiertelne, co może słaba niewiasta zdziałać z miłości dla Boga, zniszczone zostały podczas wojen, które się we Francyi pod panowaniem Ludwika XIV. między Francją i Hiszpanią toczyły. Owe groty służyły nierzadko za schronienie przeciwnym partyom. Później bandy rozbójników i przemyrcarzy ukrywały tam swe łupy. Dzisiaj napróżno pobożny wędrownik szuka tam śladów prac błogosławionej pustelnicy. Gdyby się niebyły zachowały listy Małgorzaty do ojca Dubray, w których opisuje mu to wszystko, niewiedzielibyśmy nawet, w których miejscach żyła ta święta niewiasta.

## ROZDZIAŁ VIII.

Lecz Bóg, który serce Małgorzaty od najniewinniejszych przyjemności ziemskich oderwane mieć żądał, nie dozwolił jój długo cieszyć się w tém miłém ukryciu. Jój pojawianie się w sąsiednim kościółku, jój dobre uczynki, jój cudowne leczenie różnych chorób, zwróciło na nią uwagę całej okolicy. Ludzie zbiegali się tłumem, chcąc ucałować jój szatę i prosząc o błogosławieństwo. Te składane jój hołdy, które podług niej Bogu się tylko należały, tak jój były przykre i nieznośne, iż postanowiła opuścić pokryjomu tę okolicę, w której już dłużej wieść nie mogła życia pustelniczego. Pożegnała więc ze łzami obraz swego ukochanego Zbawiciela i udała się o 20 mil drogi dalej w głąb' Pyrenei.

Swe nowe mieszkanie słusznie w swych listach do ojca Dubray nazywa Małgorzata „przepaścią strumyków.“ Leżało ono u stóp spadzistej góry, oto-

ezone wieńcem skał niebotycznych, które się jak amfiteatr wznosiły jedne po nad drugie. Mnóstwo strumyków spadających z łoskotem z wierzchołków skał, przedstawiały oku wspaniały widok spienionych wód, które rozpryskując się w miliony kropel, błyszczwały niby brylanty w blasku słonecznym i ginęły potem w czarnych przepaściach. Na widok tych wzniosłych piękności przyrody, dusza odłączała się od wszystkiego, co ją więzi na ziemi, i wznosiła się do Boga, wielbiąc go w jego dziełach. *Digitus Dei est hic* (Oto palec Boży) myśli się mimowolnie, zwiedzając te górzyste okolice, widząc te przedmurza z granitu, wznoszące ku niebiosom swe szczyty, lub schylające się nad naszymi głowami, jak gdyby w każdej chwili zdruzgotać nas miały, lub patrząc na te wierzchołki gór pokrytych wiecznymi śniegami.

Bóg zrządził, iż Małgorzata przebywszy z niezmiernymi trudami daleką tę i uciążliwą podróż, dostała się w to piękne ustronie. Niepotrzebowała zaiste żałować swój wytrwałości. Wszystko tutaj oddychało spokojem i swobodą. U stóp góry rozciągała się obszerna płaszczyna, pokryta zieloną murawą. Strumyk czysty przerzynał ją w szybkim biegu, a na jego brzegach rosły cieniste krzewy, pokryte w tej porze roku rozmaitem woniaćcem kwieciem. Z jednej strony otoczona była ta płaszczyna niebotycznymi skałami, z drugiej gęstym lasem, którego odwieczne drzewa wznosiły w obłoki swe bujne konary. Ta dolina była nietylko przyjemną, lecz obfitującą we wszystkie potrzeby życia. Były tu drzewa okryte soczystym owocem, liczne roje pszczoł gnieździły się w pniach wypróchniałych.

Małgorzata przy swój gorliwej pobożności zajęła się z wielkim zapalem upiększeniem swój nowój pu-

stelni. Założyła ogród, ozdobiła go rozmaitem kwieciem i ziołami, do czego siemion dostarczył jej ojciec Dubray. Wśród skał zaś znowu znalazła pieczarę obszerną i wygodną, która jej za mieszkanie służyć mogła. Tutaj to lub też w swoim ogródku, w cieniu jerychońskiej róży lub akacyi, rozmyślała często nad losem swych bliźnich i modliła się za nich. Lecz powie może niejedna z nas, dla czegoż Małgorzata szukała koniecznie samotności? Gdyby była żyła pomiędzy ludźmi, jakże wielu byłby jej przykład zbudował i naprawił; jak wiele dusz wahających się w dobrem, byłaby mogła umocnić i na dobrą naprowadzić drogę. Jak słodką pociechą byłyby jej cnoty niejednego dobrego Chrześcijanina przejęły. Czemuż zagrzebała w pustyni tyle cnót i pięknych przymiotów?

Na to odpowiem, iż Bóg to sam zapewne natchnął ją tą myślą, bo tak jak każdy kwiat innéj potrzebuje roli do swego rozwinięcia, tak i każda dusza musi w właściwej sobie istnieć sferze. Lilia wodna najlepiej się udaje na brzegach strumyka, fiołek w ciemnych drzew cieniu. Kto wie coby się było stało z Małgorzatą, gdyby była została wśród świata. Jak często widzimy, że męstwo ustępuje słabości, a cnota występkom! Jak często widzimy człowieka cnotliwego, wpadającego mimowolnie w sidła grzechu! Człowieka religijnego, tracącego w jednej chwili owoc długiej pracy nad sobą samym. Slizgą jest ścieżka prowadząca przez to życie, a idąc wspólnie, pociąga często mimowolnie jeden człowiek drugiego do upadku. Burzliwą jest widownia tego świata i trzeba walczyć bez ustanku nietylko z nim, lecz z stokroć niebezpieczniejszemi nieprzyjaciółmi, któremi są własne nasze namiętności i żądze. Szczęśliwy więc, kogo Bóg

litościwy zawiedzie w spokojne ustronie, gdzie może nietknięty od grzechu żyć tylko dla niego i modlić się za bliźnich.

Jednakże Małgorzata lubo się poświęciła życiu pustelniczemu, nie zerwała ze wszystkim węzłów, które ją łączyły z braćmi w Chrystusie. Kochała ich owszem serdecznie i modliła się za nich najgoręcej. Szczególniej błagała Boga za swego wiernego przyjaciela i spowiednika ojca Dubray, za swą matkę, o której śmierci dowiedziała się dopiero w terażniejszym swém mieszkaniu i za pustelnika z wybrzeży Gujanny, którego wspomnienie słodkiem uczuciem przejmowało jęj duszę, i nadzieję spotkania się z nim kiedyś w inném życiu.

Tak, serce tęj świętęj niewiasty tchnęło serdeczną miłością dla bliźnich. Zaiste, nie dla tego udała się ona na pustynię, by się uwolnić od powinności względem nich. Ona, która przeproszała swą panię, gdy ta ją niewinnie uderzała; ona, która mięszała się dobrowolnie pomiędzy najędzniejsze niewiasty, by je na dobrą naprowadzać drogę; ona i w samotności wypełniała swe obowiązki względem bliźnich nie tylko w duchu, ale i w czynie, zwiedzając chaty ubogich, ciesząc nieszczęśliwych, lecząc chorych, w ogóle niosąc pomoc im, na jaką jęj stało.

Jęj kochające serce obejmowało wszystkie otaczające ją istoty, bo w wszystkich widziała ona ich Stwórcę. Obchodziła się łagodnie nawet z swoją kozą, oswajała wiewiorki i inne płoche zwierzątka, tak, że za nią jak pieski biegały. Kwiaty nawet, które chodowała i pielęgnowała, były przedmiotem jęj miłości, bo wszystko jako dar od Boga uważała.

Na końcu dodamy tu jeszcze kilka jęj myśli, wyjętych z jęj listów do ojca Dubraya.

„Szczęśliwy, stokroć szczęśliwy, którego lata upływają na ćwiczeniu się w enocie. Chociaż go starość przygnębi, i twarz zmarszczki poorzą, jego dusza zachowa swą siłę żywotną i młodość jej nigdy nie zwiednie. Nigdy go cierpienia ziemskie nie przygnębią, bo nie żałuje przeszłości, a przyszłości się nie lęka. Oczekuje śmierci jako przystani, co go do lepszej ma zawieść krainy.....“

„Kiedyż, o Panie“, pisze w innym liście, „powołać mnie raczysz z tego wygnania ziemskiego do siebie, i czy mnie przyjmiesz pomiędzy twych wybranych? Kiedyż cię ujrzę na twym świętym tronie, otoczonego oceanem miłości? Dusza moja tęskni za tobą, jak kwiatek zwiedły od skwaru słonecznego za kroplami orzeźwiającej rosy!“

Więc kiedy prawie każdy człowiek lęka się śmierci, ta święta niewiasta pragnęła jej jako najśodszej nagrody za swe poświęcenia. Lecz jakże ludzie światowi lękaćby jej się nie mieli? Poświęciwszy swe życie zbieraniu skarbów, których zabrać ze sobą nie mogą, rozstają się z niemi z boleścią. Jakże nie mają lękać się oblicza sprawiedliwego Sędziego, kiedy czują mimowolnie, iż na gniew jego zasłużyli.

Po kilku latach swego pobytu u przepaści strumyków, Małgorzata przedsięwzięła odprawić pobożną pielgrzymkę do Rzymu, mając lat przeszło sześćdziesiąt. W liście datowanym z 17. Września wspomina o tém swemu spowiednikowi i poddaje swój zamiar rozwadze światłego męża. Lecz, że list ten został bez odpowiedzi, nie wątpiła, iż śmierć wydarła jej jedynego przyjaciela, i udała się w podróż.

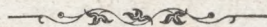
Lecz czy trudy dalekiej podróży w kraju, którego języka nieznała, dozwoliły jej osiągnąć celu podróży, czy zwiedziła groby Apostołów św., czego tak sobie

zawsze życzyła? czy powróciła do swój pustelni i długo tam jeszcze żyła? Te wszystkie pytania muszą pozostać bez odpowiedzi, bo od listu, o którym wspomnieliśmy, nie istnieje żadna więcej wieść o Małgorzacie Montmorency. Ojciec Dubray straciwszy ślad swój ukochanej córki w Chrystusie, czynił rozmaite kroki dla odszukania jój, nawet za pomocą jój rodziny, lecz wszystko na próżno. Bóg uczynił jeszcze przy śmierci zadosyć życzeniom pobożnej dziewczyny i ukrył ją przed światem.

Może czytelniczki moje zdziwione będą tém przedkiem zakończeniem. Lecz prawdę trudno ubierać w barwę powieści, i gdy zbywa na materyałach trzeba poprzestać opowiadania.

Niech przynajmniej będzie wolno dodać te kilka słów jako zakończenie. Nie byliśmy przy śmierci Małgorzaty, nie wiemy jakie były jój uczucia, gdy dusza jój przenosiła się do téj ukochanej ojczyzny, za którą tęskniła tak długo. Lecz Jezus Chrystus mówi w Ewangelii: drzewo spada w stronę, na którą się pochyla; człowiek umiera jak żył. Ten, który całe życie żył w Bogu, którego jedyną myślą i celem było niebo, zasłużył je sobie zapewne. Choć nie każdej z nas, jak Małgorzacie, podobno się poświęcić całkiem Bogu jedynie, możemy jednak każda na drodze życia naszego ćwiczyć się w tych enotach tak miłych Bogu: pokorze, cierpliwości i poświęceniu dla bliźnich, a wypełniając wiernie naznaczone nam od Boga powinności, możemy także spokojnie oczekiwać anioła śmierci i cieszyć się nadzieją lepszego żywota.

Koniec.



## Listy z podróży.

### I.

Z Wiednia, 27. Lipca 1861.

„Człowiek tak, a Pan Bóg inak,“ mówi starodawne przysłowie, kochany Jozefie; tak też i zemną się stało. Miałem cię odwiedzić tego lata, ale okoliczności nie dozwoliły mi wypełnić danej ci obietnicy i zwróciły drogę moję w inną stronę, do Niemiec, Szwajcaryi, Francyi, Anglii, pozbawiając mnie teraz przyjemności widzenia cię kochany kolego. Niepodchlebiając sobie, sędzę, iż dla ciebie ten zwrot rzeczy nie jest zbyt miłym; chcąc ci więc choć w części zawód ten wynagrodzić, postanowiłem listownie dzielić się z tobą wrażeniami, których doznałem i doznawać myślę. — Będę się starał ile możności być szczegółowym, i oprócz nazwisk kolejowych stacyj, nic z niezbyt dramatycznych szczegółów podróży mojej nieopuszczać. — We Wtorek rano stanąłem w Dreźnie, i korzystając z czterogodzinnego tamże pobytu pobiegłem raz jeszcze zwiedzić znaną ci galerję. — Złożywszy należny hołd cudownym Madonnom Rafaela, portretom Van Dyka i Rembrandta, i arcydziełom Murilla; powitawszy czarowne wdziękiem i prawdą krajobrazy Poussina i Ruisdaela, puściłem się w dalszą podróż do Pragi, gdzie wieczorem stanąłem. Z łatwością odszukałem Pana M., do którego miałem polecające mnie listy; przyjął mnie serdecznie, zaprowadził na resursę, gdzie się z kilku znakomitymi Czechami poznałem. W tak miłym towarzystwie wieczór zeszedł mi niepostrzeżenie, a nazajutrz wziąłem się do oglądania miasta. Pan M. zalecił mi udać się na willę Kinskiego, na górze

leżącój, z której najpiękniejszy na Pragę widok, i obiecał mi towarzyszyć. Przechodząc przez miasto, miałem sposobność widzieć pałac Wallensteina i czeskie muzeum.

Wspomniona willa leży wyżej niż całe miasto, to też widok z niej przeszedł moje oczekiwanie. Praga ma przesłiczne położenie, otoczona górami i przerznięta wartkiami Mołdawy nurtami, która tworzy dwie, wspaniałemi mostami połączone dzielnice. Pyszny królewski zamek na Hradczynie z katedrą św. Wita w gotyckim stylu, panuje nad całym miastem; z drugiej strony odpowiada mu Wyszehrad, który obecnie jest cytadelą, i kilka tylko kamiennych łuków oznacza miejsce, gdzie wedle podania stał dom Libussy. Owe z zielonych ogrodów wykwitające domy, tulące się niby pod opiekę smukłych kościelnych wieżyc; ta modra wstęga miasto przecinająca i ginąca w sinawej mgle wieczoru wśród niw i łąk zielonych; ten zamek wspaniały z omieszonym od starości czołem, wiekom urągać się zdającej, wszystko to przywodziło mi na myśl inny tegoż rodzaju widok, równie uroczysty, ale miłszy, bo swój, bo rodzinny! W Pradze wspaniałe tylko miasto widziałem, a patrząc na ukochany Kraków nasz z kopca Kościuszki, serce żywiej mi biło i myśl uśmiechała się ku przeszłości, bo ojczysty wietrzyk skroń mą owiewał, bo rodzinne dolatywały mnie śpiewy, bo ogrom sławy mych przodków i w jej szczątkach widziałem. I na to wspomnienie łzami nabiegły mi źrenice, a poczciwy towarzysz mój zrozumiał mnie, bo dłoń moję serdecznie uściśnął; — w tym uścisku zlał się wyraz zobopólnego współczucia dla nieszczęśliwych pobratymców Polaków i Czechów.

Kto wrażenia pragnie, a Pragę zwiedza, niech niezaniebda przechadzki na cmentarzu żydowskim.

Otoczony czarnym murem, z dwóch stron dotykający mchem starości okrytymi synagogami, nie tylko podziw, ale i wstręt obudzić może. Wązkimi ścieżkami chodzi się pomiędzy kamiennymi groby, które tak blisko siebie stoją, iż oprócz wąziutkiej ścieżki niemasz miejsca, gdzieby nogę, nie tracąc o kamień, postawić — o kamień wiekiem zaokrąglony i kroplami deszczu podziurawiony. Już w roku 606 chowano tam Żydów, a przed 74 laty ostatniego tamże złożono; podobno 16 warstw grobów leży na sobie. Drzewom tam rosnącym i kamienie obejmującym korzeniami swymi, zdaje się ten kompost ciał ludzkich niesłużyć, gdyż rozliczne powtórne przybierają kształty; pokrzywione, karłowate, okryte grzybami i narostami w połączeniu z panującym pod nim chłodem, wilgocią i słabym światłem (gdyż gałęzie ich rodzaj baldachimu tworzą), trudny do opisanja przedstawiają widok. Co do mnie, przyznam się, rad byłem, gdy się z tej zgnilizny na wonne i czyste powietrze dostałem. — Z Pragi puściłem się do Wiednia, gdzie zacząłem jak każdy od kościoła S. Szczepana i Schönbrunnu, pałacu pod Wiedniem, słynnego pokojem Napoleona I. z Franciszkiem tam zawartego, jako też śmiercią księcia Reichstadt. Obejrzałem również galerję obrazów, zbiór starożytności (bardzo nieliczny) i piękny zbiór broni i zbroi, gdzie pokazywano mi złotą zbroję Stefana Batorego, tudzież jego portret. — W Laxenburgu, zamku cesarskim, dwie mile od Wiednia odległym, mało jest ciekawych rzeczy, wyjąwszy tak zwanego Franzenburga, zamku na wzór starych kastelów urządzonego jak najwerniej, gdyż okna, meble, kominki, sufity nawet, są po-

wyjmowane ze starych zamczysk. Złudzenie jest zupełne, brakło mi tylko groźnych, żelazem okrytych rycerzy, giermków z sokołami i kasztelanek w mglistych zasłonach i długich powłokach. — Jak na złość w tym samym czasie co ja zwiedzała to miejsce para Anglików. On tłusty, gruby John Bull, z rękami w kieszeniach, ściśle mimo afrykańskiego upału zapiętego paletona; ona w zadartym kapelusiku, który jój długą, kościstą, bladawą twarz uwydatniał; a za nimi mały groomek w jaskrawym spancerku. Znużony szczebiotaniem milady i oziębłym milczeniem jój mrukliwego towarzysza, zacząłem myśleć o odwrocie. Jak na nieszczęście przechodząc obok angielskiej pary, zaczepiłem nogą w ogon trawiastej sukni damulki, i o mało jój mimowolnie czolobitności nieoddałem. Uwolnwszy nogę moję z majowych więzów wśród óch, ów, ach, ów, i przeprosin z mojej strony, wyniosłem się szybko, gdyż noc zapadła, a ja miałem nazajutrz rano jechać koleją do Siewiernik (Semering), przez owe 15 najświetniejszych tuneli na stałym łądzie. — Siedziałem już na mojem miejscu i pociąg miał ruszać, gdy wtém z przerażeniem ujrzałem wczorajszą parę, pakującą się do tego samego wagonu.

Poznaliśmy się i oddawszy sobie dzień dobry, zaczęliśmy rozmowę, która rozpoczynawszy się piękną pogodą, kończyła omdleniem Angielki przy wyjeździe do pierwszego tunelu. „Dobryś“, pomyślałem sobie — „jeżeli to tak za każdą razą będzie.“ Gdyśmy światło dzienne ujrzeli, mąż wyjął potężną flaszkę kolońskiej wody i z prawdziwie angielską flegmą zaczął trzeźwić swoję połowicę. — Kiedy oczy otworzyła, zaczął jój perswadować, że się niema czego lękać; lecz zaledwie pół przemowy dokończył, gdy

się pociąg znów w otchłań pogrążył. Poprzedzająca scena powtórzyła się w całej rozciągłości, co mi nie szczególną na przyszłość rokowało otuchę. — Anglik znów zaczął perswadować, dodając z rezygnacją: „Jeszcze tylko dwanaście takich.“ Nic to jednak niepomagało, każdy nowy tunel, (a jest ich na 5 mil 15cie) sprawiał Angielce mdłości. Wyobraź sobie mój humor w takim razie. Mdlejąca kobieta jest zawsze nudna, a cóż dopiero w podróży, gdzie chciałbyś jak najwięcej nachwytać widoków i wrażeń. To też w duszy nie szczędziłem dla nich pełno niezbyt podchlebnych komplementów, a gdym z wagonu wysiadł, to jakbym się z gorącej wydostał łaźni. Na wieczne czasy wyrzekłem się Anglików i Angielek. Jutro wyjeżdżam przez Monachium do Augsburga i Ulmu, zkąd przez Friedrichshaf i jezioro konstancjskie, udam się do Szafuzy i Strassburga i ztamtąd do Ciebie napiszę.“ — Bywaj zdrów  
twój

\*\*\*\*

*(Dalszy ciąg w następującym poszycie.)*

## P i u s I X.

(Z Maguira.)

**K**tóż niezajmowałby się w tych czasach losem tego męża, który stanąwszy na najwznioślejszym stanowisku, jakie człowiek osiągnąć zdoła, zasługuje przez swe zalety i cnoty na uwielbienie, a przez swe niezasłużone cierpienia i przeciwności na powszechne współczucie. Dla tego umieszczamy tu krótki rys jego życia, które w analach historyi niepospolite zabierać będzie miejsce.

Światelko. Poszyt III.

Giovanni Maria Mastai Ferretti, urodził się 13<sup>go</sup> Maja roku 1792 w Sinigaglia, z ojca hrabiego Hieronima Ferretti, z matki Katarzyny z domu Solazzi. Gdy miał lat jedenaście oddany został do collegium . . . . , który to zakład wielce słynął w owych czasach.

Uprzejma postać młodego chłopczyzny, słodycz harakteru, bystrość rozumu i wielkie zdatności, zjednały mu wkrótce miłość współuczniów i szacunek nauczycieli. Na dowód, jak się odznaczał już w szkołach, niechaj posłuży następujące zdarzenie: Gdy ciotka terazniejszego cesarza francuzkiego, Heloiza Bacciocchi, wówczas królowa Etruryi, przybyła do Voltery, a uczniowie świetne jój przyjęcie zgotować postanowili, wybrano młodego Ferretti, by prezydował przy posiedzeniu tak nazwanej akademii poetyckiej, na jój cześć urządzonemu.

W roku 1808. będąc jeszcze uczniem tego zakładu, zaczął doznawać początków wielkiej choroby. Pomimo tego odebrał w roku następnym pierwszą tonzurę z rąk Tecontia, biskupa volterryjskiego. W Październiku tego samego roku udał się do Rzymu, aby ukończyć nauki.

Pobył w Rzymie zadowolniał go bardzo, gdyż widział, że nauk potrzebnych do stanu duchownego nigdzie lepiej jak tam ukończyć nie można, a jego pragnienie, poświęcenia się temu stanowi, zgadzało się zupełnie z wolą jego pobożnej matki. Mieszkał tam u stryja, który był kanonikiem przy bazylice watykańskiej. Gdy ten przez smutne wypadki zmuszony był oddalić się z Rzymu, młody Ferretti opuścił także to miasto w roku 1810. Że był z wysokiego rodu, więc radzono mu, by wstąpił do gwardyi honorowej w Medyolanie, lecz wielka choroba, z której się jeszcze nie był wyleczył, była mu i w tém

na przeszkodzie. Na tém zdarzeniu osnuto pogłoskę zupełnie bezzasadną. Mówiono, że młody hrabia Ferretti udał się do papieża Piusa VII., prosząc by go przyjęto do gwardyi przybocznej papieżkiej; rzeczywiście zaś niepodawał on się nigdy do służby wojskowej, ani najmniejszej czuł do tego skłonności.

Ferretti pozostał w swém rodzinném mieście, póki Pius VII. niepowrócił do swego państwa. Gdy ten czcigodny starzec, obciążony troską i kłopotem, przejeżdżał przez Sinigaglią, Ferretti został mu przedstawionym. Wkrótce potem udał się powtórnie do Rzymu i w Maju roku 1814. był świadkiem wspaniałego i serdecznego przyjęcia Ojca świętego na Piazza del popolo. Odczyty w akademii teologicznej szły znowu dawnym trybem, ale Ferretti słuchał ich tylko prywatnie, gdyż dla wielkiej choroby nie mógł przyjąć święceń duchownych. Ale Bóg, który go do wielkich przeznaczył celi, pocieszał go nadzieją, że przecież kiedyś życzenia jego spełnione zostaną. Ta nadzieja nieomyliła go; napady wielkiej choroby zaczęły ustawać powoli i wkrótce przypuszczono go do dalszych wyświęceń.

W roku 1814 prosił go Monsignor Odescalchi, który później złożył purpurę i wstąpił do zakonu Ś. Ignacego, aby się przyłączył do missyi, odbyć się mającej w Sinigaglii. Po powrocie Papieża bowiem do Rzymu, stósownie do jego życzenia liczne odbywały się po całym państwie missye, by wzbudzić w sercach ludu ostygłą wśród długich zamieszek pobożność. Ferretti okazał się bardzo czynnym i piękne też z swjej pracy zbierał owoce.

Ze zdrowie jego umocniło się tymczasem zupełnie, więc po powrocie do Rzymu, prosił o święcenia na subdyakona i dyakona. Uczyniono zadość

prośbom jego, i dnia 18. Grudnia 1818 został wyświęcony na subdyakona, jednakże mszę św. pozwolono mu tylko w asystencyi innego kapłana odprawiać. Ojciec św. okazywał mu tyle przychylności, że Ferretti ośmielił się prosić go o zniesienie i tego ostatniego warunku. Ojciec św. na tę prośbę wziął go uprzejmie za rękę i rzekł z zwykłą dobrocią: „Zezwalam na to, bo mam nadzieję w miłosierdziu boskiem, iż cię od téj choroby uwolnić na zawsze raczy.“ Te słowa były jakby wieszczym wymówione duchem, bo od roku 1818 aż do dnia dzisiejszego, więc w przeciągu lat przeszło czterdziestu kilku nigdy już Ferretti nie doznał téj przykréj choroby.

Roku 1823 jeden kanonik katedralny Ś. Jana w Chili przybył do Rzymu z prośbą do Ojca świętego, aby zechciał mianować swego zastępcę przy owéj oddalonej rzeczywospolitéj.

Kardynał della Genga, wówczas kardynał-wikaryusz Rzymu, i sekretarz stanu kardynał Gonsalvi, prosili Ferrettiego, aby się przyłączył do missyi razem z Monsignorem Muzi, który później został biskupem w Castello.

W owych czasach podróż takowa słusznie za bardzo niebezpieczną uważaną była, dla tego téż matka młodego hrabi Ferretti pisała do kardynała Gonsalva, prosząc go, by odwiódł jéj syna od tego zamiaru. Lecz Ferretti, nieustraszony niebezpieczeństwem, uważał to poselstwo jako głos z nieba, wołający go na obszerne pole działania. Niewiedząc nic o liście matki, poszedł do Papieża; ten rzekł mu: „Hrabina, twoja matka, pisała do sekretarza, by cię wstrzymać od podróży; lecz ja jéj odpowiedzieć kazałem, że powrócisz z niéj szczęśliwie.“

Co Ojciec św. powiedział ziściło się zupełnie. W trzy lata później młody Ferretti był znów u swój rodziny w Sinigaglia, gdyż Legat papieżki dla powstania, które wybuchło w Chili, był zmuszony opuścić to państwo.

W podróży Ferretti zatrzymywać się musiał w Montevideo i innych miastach Ameryki południowej. Gdzie tylko przybył, poświęcał każdą chwilę obowiązkom duchownym. Równie niez mordowanym w gorliwej pracy był podczas swego długoletniego pobytu w Santjago. Miał częste kazania, uczył, słuchał spowiedzi, a pieniądze, ile tylko miał, rozdzielał pomiędzy ubogich. Skutkiem tego było, że gdy został Arcybiskupem był zmuszony sprzedać kilka swych posiadłości na pokrycie potrzebnych przy tej uroczystości wydatków.

Jeden wypadek maluje tak dobitnie sposób myślenia męża, którego kreślemy żywot, iż niepodobna go ominąć, mówiąc o missyi do Chili.

Razu pewnego Legat jadący z orszakiem towarzyszków i służbą drogą wiodącą do stolicy, zmuszonym był zatrzymać się w karczmie, samotnie przy drodze leżącój.

Tu znajdował się bolesną chorobą złożony na łożu śmiertelném, w zupełném opuszczeniu, umierający oficer angielski. Duchowni włoscy zajęli się bardzo smutnym losem nieszczęśliwego człowieka, zupełnie obcego, a przy tém innowiercy, a jeden z nich pozostał przy nim, by go pielęgnować i pocieszać w ostatniej godzinie. To uczynił Mastai Ferretti, dziś papież Pius IX.

Po powrocie do Rzymu w Grudniu roku 1825., został mianowanym prezesem szpitala Świętego Michała przez Leona XI. Oględność i staranność, jakie okazywał na tym uciążliwym urzędzie, stoją je-

szcze żywo w pamięci tych, którzy znali ten instytut. Było zaś to tylko początkiem licznych pięknych dzieł, które na obszerniejszém miał zdziałać polu. Po dwudziestomiesięczném sprawowaniu tego urzędu został wyniesiony na Arcybiskupa Spoleto, stolicy dycezyi, w której się urodził.

W tém mieście założył dom dla biednych dzieci, celem uczenia ich różnych rzemiosł. W tém dziele miłości chrześcijańskiej poznajemy znowu tę samą nigdy niewyczerpaną chęć, ulżenia niedoli bliźnim, która cały zawód jego życia kapłańskiego cechuje.

Mastai Ferretti poznał rychło rozruchy obywatelskie, które później tak czarną chmurą zaćmić miały pierwsze lata jego pontyfikatu. W roku 1831 liczne powstania burzyły spokój państwa rzymskiego, lecz za pomocą wojska austriackiego wkrótce przytłumione zostały. Młody Arcybiskup nie mało się przestraszył, gdy nagle czterotysięczny tłum buntowników, wyparty przez Austryaków z Civita Castellana, przybył do Spoleto. Lubo nie mógł się spodziewać rychłej pomocy, niestracił jednak w tém niebezpieczném położeniu odwagi, lecz jako dobry pasterz postanowił bronić swęj trzody. Udało mu się prośbami, groźbami i obietnicą kilku tysięcy szkudów nakłonić buntowników do złożenia broni; a mieli oni kilka tysięcy flint i 5 armat, co wszystko odesłano do Rzymu.

Ze zaś w tym czasie najwyżsi urzędnicy Perugii i Spolety ucieczką ratowali się byli przed powstańcami, przeto sekretarz stanu Bernetti oddał ich władzę tymczasowo w ręce młodego Arcybiskupa spoletańskiego. Głową powstańców był Fescognani, któremu towarzysze broni nadali tytuł Jenerała; tak jednakże mało mieli zaufania ku niemu, że prosili Arcybiskupa, aby on sam rozdzielił pomiędzy nich

obiecana kwotę pieniężną. Dowód, jak powszechnie znaną była jego sprawiedliwość, że nawet w nieprzyjaciolach wzbudzał poszanowanie i ufność.

W Styczniu roku następnego trzęsienie ziemi, które wielką część jego dyecezyi zniszczyło, nowe otworzyło pole dobroczynności Arcybiskupa. Wszędzie sam chodził i niósł pomoc i pociechę. Dobry pasterz litował się nad niedolą swych owieczek i cierpiał ich cierpieniem. Lecz niedługo mógł się cieszyć i błogosławieństwem i wdzięcznością.

W Grudniu roku 1832. papież Grzegorz XVI. mianował Arcybiskupa spoletańskiego arcybiskupem Imoli, następcą kardynała Giustiniani, który był złożył swój urząd. Na tém też dostojenstwie odebrał purpurę, zatrzymany w konsystorzu od 23. Grudnia 1839 *in petto*, a proklamowany kardynałem 14. Grudnia 1840 r.

W Imole założył Ferretti kilka użytecznych zakładów, jako to: kolegium dla chcących słuchać teologii, którymby brak funduszków niedozwolił ukończyć nauk w Seminaryum arcybiskupiem, potem dom sierót, a staraniom sióstr miłosierdzia oddał ochronkę dla osieroconych dziewcząt. W tymże instytucie założył dwie szkoły, jedną dla dziewcząt ubogich, drugą dla córek bogatszych rodziców; miejski szpital oddał także siostrom miłosierdzia.

Spełniwszy te i inne dzieła miłości chrześcijańskiej, dające tak piękne świadectwo o czułości jego duszy, kardynał Ferretti uwieńczył swe dzieła utworzeniem zakładu, okazującym w całym blasku miłość jego dla cierpiącej i obłąkaniej ludzkości. Już od dawna życzył on sobie założyć schronienie dla grzesznie pokutujących. Zawsze stał mu przed oczyma widok „tych upadłych cór ziemi, błagających przy-

jęcia do owczarni Chrystusowej.“ Jego serce bolało na wspomnienie o tych nieszczęśliwych istotach, i byłby chętnie poświęcił cały swój majątek, by je uchronić przed ochydnym życiem lub śmiercią samobójczą. Nabył więc obszerny dom, kazał go urządzić na przyjęcie takich nieszczęśliwych kobiet, a na jego zaprosiny zostały wysłane kilka zakonnic reguły „Dobrego pasterza z Angers“, by miały dozór nad zakładem.

Był to dzień uroczysty dla kardynała Ferretti, gdy cztery zakonnice przybyły do jego pałacu, które tam zamieszkać miały, dopókiad przeznaczone dla nich pomieszkania nie zostały wykończone. Z niezmierną radością przyjął te dobre siostry, które mu miały pomagać w szlachetnym czynie litości. Skromne mniszki przyjmowały z największą wdzięcznością względy i cześć, które im oddawał jeden z najpierwszych książąt kościoła. Radośne uczucie kardynała, gdy ujrzał plan swój urzeczywistniony, maluje dobitnie list jego pisany do Przełożonej w Angers:

„Czcigodna Matko Przełożona! Zapewne od córek twoich dowiedziałaś się już o ich szczęśliwem przybyciu do Imoli. Mam sobie jednak za obowiązek donieść ci o tém, i zarazem oświadczyć radość, jaką uczulem na widok tych pobożnych, Bogu poświęconych dziewic, które za kilka dni rozpocząć mają swe wielkie dzieło ocalenia niejednej zgubionej owieczki. Przekonany jestem, że za pomocą boską wrócają do owczarni Króla-pasterzy Jezusa Chrystusa. Wieczna niech będzie chwała temu Bogu miłosiernemu! Ciebie zaś, szanowna matko, proszę, byś przyjęła zapewnienie najszczerzej wdzięczności. Pocięchają to dla mnie i radością, że dobre siostry są w moim pałacu. Niezaniedbam w każdym razie udzielać im

pomocy i rady, i pełen radości oświadczam Ci potwórnienie, że z głębokim szacunkiem

jestem

Twoim sługą

*Jan Maria Kardynał Ferretti.*

Imola, dnia 14. Października 1845.“

W ten to sposób rozumny prałat starał się zarażać duchownym i cielesnym potrzebom swój trzody, i nie wiedzieć co bardziej podziwienia godne, czy staranność i gorliwość pasterska, czy szlachetność i miłość bliźniego, wiodące go do wykonania dzieł tak wspaniałych.

Aby w kapłanach swój dyecezyi ożywiać ciągłe uczucia pobożności, przeznaczył dom jeden dla nich na ćwiczenia duchowe. Tu w naznaczonym czasie zjechawszy się kapłani, obowiązani byli oddawać się przez dni kilka pobożnym rozmyślaniom. To urządzenie, wpływające bezpośrednio tylko na kapłanów, było jednak dla całej dyecezyi niezmiernie korzystnem, gdyż przez uzacnianie pasterzy poprawiał się téż sposób myślenia owieczek.

Wypadek następujący, który się zdarzył w Lutym 1846, poświadcza wielką odwagę zacnego Prałata, i nadzwyczajną moc, którą Bóg natchnął słowa jego. Na początku zapust znajdował się kardynał Ferretti o zmroku w katedrze, odprawiając wieczorne modły, gdy wtém nagle przypadł kościelny, zaklinając go na Boga, by co rychlej przybył do zakrysty, gdyż tam kogoś mordują. Kardynał poleciwszy się opiece boskiej, podążył na miejsce wskazane. Tam ujrzał młodzieńca zranionego, leżącego na ławce, który szukał schronienia na świętém miejscu. Ledwo kardynał stanął przed rannym, gdy trzech

zbojców wpadło do zakrystyi, by dopełnić swój zbrodni. Nieulekniomy lśniąca bronią złoczyńców, ni ich zemstą palającym wzrokiem, Ferretti, stanął przed mordercami, wystawił im w słowach pełnych powagi szkaradność ich zbrodni i rozkazał im kościół opuścić. Zbojcy stanęli z początku jak osłupieli, potem w milczeniu oddalili się z świątyni pańskiej.

Nadszedł nakoniec czas, gdzie Ferretti miał opuścić miejsce, w którym zostawił tyle pamiątek swęj ku bliźnim miłości. Świetniejszy czekał go zawód, zawód najszczytniejszy, jaki człowiek osiągnąć może, lecz dla niego jeżeli nie najniebezpieczniejszy, to przynajmniej złożony z wielu troskami i cierpieniem.

Na początku Czerwca roku 1846, kiedy kardynał Ferretti z swymi duchownymi odprawiał rekolekcyę, doszła go wiadomość o śmierci Grzegorza XVI. Zaraz po odebraniu tęj smutnej wieści podążył do swojej stolicy, odprawił mszę żałobną za duszę zmarłego Papieża, i udał się w podróż do Rzymu, nieprzeczuwając co go tam spotkać miało.

Przybył do stolicy apostolskiej wieczorem 12. Czerwca. W 28 godzin później wstąpił w konklawe z innymi kardynałami. Dnia 15. Czerwca nastąpiło oddawanie głosów, a wieczór szesnastego Czerwca ujrzał kardynał Ferretti obranego jednomyślnie, a rano 17<sup>go</sup> wybór papieża Piusa IX. rozgłoszony został uroczyscie na cały świat katolicki.

W następujących, tak pięknie cechujących skromny sposób myślenia jego słowach, oznajmił nowoobрани Papież braciom swym w Sinigaglia swe wyniesienie na tę godność:

„Rzym, dnia 16. Czerwca, ¼ przed 12<sup>ta</sup> godziną w wieczór. Wszechmocnemu Bogu, który poniża i wywyższa, podobało się wynieść moją osobę do naj-

większej ziemskiej godności. Niech się zawsze dzieje jego święta wola. Znam poniekąd niezmierny ciężar tego wysokiego urzędu i czuję wielką moją nieudolność, by nie powiedzieć niemoc. Każcie się modlić za mnie i módlcie się sami! Konklawe trwało 48 godzin. Gdyby miasto przy tém zdarzeniu chciało publiczne uroczystości zgotować, to was proszę, kładę wam na serce, byście zapobiegli temu, a pieniądze na to przeznaczone, na dobroczynne cele niech obrócone zostaną.

Co do was, mili bracia, to was pozdrawiam z całego serca w Jezusie Chrystusie. Nie tryumfujcie radośnie, litujcie się raczej nad bratem waszym, który wam daje zupełne apostołskie błogosławieństwo.“

K.....

---

## W i e s z c z .

---

**G**ra muzyka, biją dzwony,  
 Czy na pogrzeb, czy na ślub?  
 Ach, to nowonarodzony  
 Młodą matkę wepchnął w grób.  
 Już w kolebce płacze dziecko,  
 Żle mu będzie, źle na świecie.

Wzrasta chłopie hoże w lata,  
 Smutek z ócz mu zawsze lśni;  
 Łezki srebrne ciągle wplata  
 W wieńce młodocianych dni.  
 Wesolo się bawią dziatki,  
 On samotnie zbiera kwiatki.

Wzrasta chłopczyk hoży w lata,  
 Do nauk, do książek lgnie;  
 Ale ciągle mu wśród świata  
 Żle na sercu, w duszy źle.  
 Jakiś blask się w oku zarży,  
 Myśli chłopiec, duma, marży.

Już z chłopczyka cny młodzieniec,  
 Urodziwych, kraśnych lic;  
 Już na licu ma rumieniec,  
 Serce bo zaczęło bić.  
 Za kochanką w myśli goni,  
 Do niej myśli, do niej, do niej.

Dziewcze się wesoło śmieje,  
 Jój bo zawsze w ustach śpiew;  
 Wszędzie dla niej lśnią nadzieje —  
 Bo urodna piękna krew.  
 Czemuś smutny mój młodzieńcze,  
 Ciesz się ze mną, splataj wieńce.

Już kwiateczek z rozmarynu  
 Ozdobił jój śnieżną skroń,  
 Z dyamentowego płynu  
 Pierścień małą białą dłoń.  
 Już stanęła do ołtarza  
 I księdza słowa powtarza.

A młodzieniec zadumiany  
 Z za filaru widzi ślub,  
 Gorzkie w sercu czuje rany,  
 Chciałby zaraz wstąpić w grób,  
 Bo mu dziewczę było lube,  
 Oplakuje swoją zgubę.

I zanucił piosnkę smutną,  
To mu żalność ulży ból;  
Bajkę wymyślił wierutną,  
Bo opiewał to co czuł.  
I gdy serce teraz boli,  
Śpiewem ulży swój niedoli.

Śpiewa o nieszczęściach kraju  
I opiewa świeży maj;  
Kwiatki, łąki przy ruczaju,  
I woniący chłodny gaj.  
Wszystko co serce uczuje,  
Czém się smuci, czém raduje.

A gdy napadł kraj ach drogi  
Niecny, niebezpieczny wróg,  
I wśród wrzawy i pożogi  
Niszczył domy, łany, pług:  
On zaśpiewał, szablą błysnął,  
I na wroga pocisk cisnął.

Wrócił. Pieśni braciom śpiewa,  
Pieśń chwalebnych, dawnych dni,  
Do dzielności ich zagrzewa,  
Czasem pieśń téż żalu brzmi.  
Jemu nigdy bo radośnie,  
Tylko smutno i żałośnie!

Wiele czuje, szybko żyje,  
Wnet przestanie serce bić,  
Wnet zielony grób pokryje  
Bladość jego smutnych lic.  
Może z oka łezka tryśnie,  
A nad grobem waszym błysnie.

---

## Śmierć.

Kazał postawić krzesło przy oknie,  
Jeszcze raz spojrzeć pragnie na ziemię,  
Spojrzeć w błękitne niebiosów tonie,  
Spojrzeć na gwiazdek błyszczące plemie.

Do koła cisza. Księżyc strzały  
Śrebrzą dolinę i perlę rosy,  
Dalej bór mglisty, wysokie skały,  
A tam srebrzyste pływają kłosy.

W ogrodzie szumią ganki lipowe,  
Jakaś mgła biała, blada się zarzy;  
Słowik na skrzydło pochylił głowę,  
O nowój pieśni cudownej marzy.

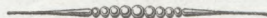
Nie płaczcie bracia i przyjaciele,  
Nie płaczcie wierne, kochane sługi,  
Śmierć pożądana... kończy trosk wiele,  
Smutnych dni żywot tak już za długi.

My się na lepszym zobaczmy świecie,  
Żegnam was, lecz do widzenia.....  
Ach, gdzie ujrzę tę ziemię, to kwiecie,  
Lube noce, księżyc promienia?

Gdzie będzie wiosna, każdy rok młoda,  
Lube spędzane z wami wieczory,  
Gdzie ta kryształem lśknąca się woda,  
Cieniste lipy, doliny, bory?

Ach już na wieki żegnać was muszę...  
Dla tego oko zalane łzami,  
I to mi ściska boleścią duszę...  
Umieram... wiecznie tęsknię za wami.

K.....



## Podarunek Ody.

### Powiatka dla dzieci.

Pani Stawińska już od lat pięciu była wdową i żyła samotnie w swój małej odludnej wiosce, położonej zdala od gwaru świata, wśród lasu, poświęcając się jedynie wychowaniu swych dzieci. Mąż jej nieboszczyk, który był dawniej kupcem, straciwszy niemal cały swój ogromny majątek, kupił za resztę pozostałych pieniędzy tę posiadłość, w której to żyła cała ta rodzina skromnie, acz przyzwoicie. Pomimo, że ściany nędznego domku chyliły się widocznie, nieprzeszkadzało to jednakowoż, iż zadowolenie mieściło się pod niską jego strzechą, bo zamieszkała tam jedność i miłość.

Nad tém tylko ubolewali poczciwi rodzice, iż w tej samotności tak mało uczynić mogli dla duchowego wykształcenia swych dzieci, których zdolności piękne rokowały nadzieje. W okolicy zbywało zupełnie na dobrą szkołę, a ojciec tyle był zatrudniony gospodarstwem, od którego zależała przecież cała bytność rodziny, iż nie był w stanie zająć się kształceniem swych dzieci. Wkrótce niestety całe wychowanie dzieci na matce zawisnąć miało. Pan Stawiński zachorował i umarł, a po śmierci naturalnego opiekuna dotykał jeden cios po drugim biedną rodzinę. Bogaty i nielitościwy pan, któremu pan Stawiński winien był dość znaczną summę pieniędzy, zaskarżył teraz biedną wdowę, że mu regularnie prowizji płacić niemogła. Na jego żądanie posprzedano jej jednego dnia niemal wszystko bydło i co najlepszego było w gospodarstwie. Pani

Stawińska zmuszona była odprawić parobka i dziewczkę, a że bez bydła i ludzi roli niemożna było uprawiać, więc nieszczęsna rodzina pogrążoną była w najsroższą niedolę.

Karól, najstarszy z dzieci, liczył lat dwanaście, Marynia dziesięć, a Władys, ulubieniec całego domu, niedosiągnął był jeszcze ósmego roku.

Powierzchność Władzia niebyła wprawdzie tak zajmującą, atoli był on zawsze grzeczny i pilny, i tak posłuszny, że byliby go pewno wszyscy ludzie serdecznie pokochali, gdyby się był pomiędzy nich dostał. Był więc też najbardziej lubiony od matki. I Karól był dobrym i pilnym chłopcem, ale lubił się bardzo drażnić i sprzeciwiał się często rodzeństwu, choć to nie ze złego pochodziło serca.

Marynia jak mogła dopomagała w gospodarstwie matce; można się było we wszystkim na nią spuścić, atoli miała tę wielką wadę, że nie lubiła wspierać bliźnich, i często, gdy się zjawił jaki biedny prosząc o jałmużnę, mawiała: „My sami mamy za mało, idźcież do bogatszych.“

A gdy Karól przyszedł na to, niemógł się oprzeć, by nie pożartować z biedaka, potem atoli dokradł się tajemnie do spiżarni i wyniósł za ubogim kawalcetek chleba bez wiedzy Maryni.

Przeciwnie Władzio, ten niemógł bez wzruszenia i litości słuchać o cudzej niedoli, a w czasie, kiedy matka już była w wielkiej nędzy, błagał jednego dnia ze łzami w oczach, czyby niemógł dać swęj chusteczki dziecku, które w lesie zbiera drzewo i drży całe od zimna. „Ja się bez niej obejdem“, mówił, „i całą zimę przechodzę z gołą szyją.“

Pani Stawińska nieopierała się jego prośbom, cieszyła się przeciwnie z dobrego serca swego syna,

i tak chłopczyzna chodził całą zimę bez chusteczki. Kiedy czasem prosił matkę, by mu pozwoliła dać swój podwieczorek ubogiemu, chętnie przystawała na to, a czulém uściśnieniem wynagradzała mu jego szlachetność, i rozmawiając z nim wiele, wystawiała mu, jak smakuje podwieczorek jego ubogiemu nędzarczowi. To wynagrodziło mu dostatecznie głód, który czuł, a w ten sposób nieprzyzwyczał się téż do lekkomyślnych obietnic, które to nie jedno dziecko ma w ustach, nierozważywszy wprzód, czy je będzie mógł spełnić.

Przy takiej sposobności drwił sobie niemało Karól z młodszego brata, ale na końcu ofiarował mu zawsze część swego podwieczorku lub obiadu, co wprawdzie Władzio rzadko kiedy przyjął. Przeciwnie Marynia gniewała się zawsze na brata, że tak chętnie wszystko rozdawał i zjadała zwykle swoją część najskwapliwiej, by tylko nie dać nic nikomu.

Tak minęło lat kilka od śmierci ojca; ściany domku chyliły się coraz bardziej, mimo, że Karól z matką stawiali, jak się dało, drewniane podpory; nakoniec już niemożna było zapobiedz zupełnemu zawaleniu. W niewiele lepszym stanie znajdowały się téż stodoły i chlewy. Tu łamała się ściana podpłukana deszczem, zamki i klótki były niezdolne do dalszej służby, lecz niestety niebyło téż już co zamykać. Próżny był śpichlerz, próżna stajnia, już nie ryczały w obórce krówki, nie rżały w stajence koniki, kilka tylko owiec i nieco drobiu stanowiły resztę tak znacznego niegdyś majątku pani Stawińskiej.

Karól uprawiał rolę, ażeby przynajmniej niezbywało na ziemniakach, kapuście i owocu, owce dostarczały mleko, a z ich wełny robiła Marynia z ma-

tką pończochy. Władzio nie miał jeszcze pewnego zatrudnienia, jednakże wystrugiwał z drzewa rozmaite drobnostki, które za kilka groszy sprzedawał w mieście. Chętnie byłby ten kochany malec pracował na swą matkę i młodsze rodzeństwo, lecz był jeszcze tak młodym i słabym, i umiał tak mało! Musiał się więc zadowolnić na zbieraniu grzybów i jagód w lesie. Razu jednego przyszło mu na myśl stawiać sidła na ptaki, by mógł matce przynieść coś posilającego na obiad lub wieszczkę.

W jeden poranek letni zrobił Władzio pierwszą próbę zastawiania sideł. Wybrał się więc bardzo wczesnie w drogę, zabierając wkieszę skibkę razowego chleba na śniadanie. Przededrzwiami spotkał swego ulubieńca, czarnego koguta z czerwonym jak ogień grzebieniem, który zdawał się czekać na niego. Malec ukruszył mu z swęj skibki chleba na śniadanie, wziął potem na plecy koszyk z dzbankami do jagód i poszedł dobrej myśli do lasu.

Poranek był piękny, wietrzyk kołysał zwolna szczyty drzew i krzewiny, a mnóstwo powietrznych mieszkańców witało swym śpiewem małego wędrowca. Pełno tam dziś było grzybów i jagód, i wkrótce koszyki i dzbaneczki niemi były napełnione. Władzio postawił wszystko pod krzaczek leśnych orzechów i udał się w gęstwiny, gdzie wczora wieczorem był zastawił sidła na ptaki. Lecz tylko jedna makolągwa była się tam złapała. Biedna ptaszyna leżała zimna i niema na ziemi, kiedy jej współbracia śpiewając po lesie, cieszyli się swobodnym życiem. Władzio spoglądał więc z boleścią, niżeli z radością, na swą zdobycz, żałował bardzo, że jego podstęp pozabawiło życia biednego ptaszka. Tak stał przez chwilę w zamyśleniu, oglądając nieżywego ptaszka,

gdy nagle przeraziło go głębokie westchnienie, z pobliskich pochodzące krzaków. Obejrzał się dokoła i ujrzał w pobliżu na ziemi w łachmany odziane dziecko, które płakało gorzko, zasłaniając twarz rękoma. Szybko rzucił Władzio nieżywego ptaka i pobiegł do dziecka, które, jak był rozumiał, upadłszy przez pień sprchniałego drzewa, było się skaleczyło.

„Biedne dziecko“, rzekł litościwie, „pewno bardzo się stłukłoś, uchwyc się za moją rękę, to cię podniosę z ziemi.“

Ale dziewczynka płakała coraz głośniej i zakrywała twarz podartym fartuszkiem; ażeby nie być widzianą. Władzio pocieszał ją jak mógł, tak że nakoniec dziewczę uspokoilo się i odsłoniło twarz. Lecz jakże przeląkł się Władzio, gdy ją zobaczył! Szerokie czoło okrażone było białymi krótkimi włosami, na środku czoła znajdowały się szerokie czerwone usta; kiedy oczy stały w spiczastej brodzie pod ogromnym nosem.

Chłopiec oniemiał z przestachu, chciał już uciekać, ale brązowe oczęta dziewczęcia patrzyły tak litośnie na niego, głos jej był tak rzewny gdy wołała: „Ach, jakże ja jestem nieszczęśliwą, nikt się nademną niezlituje, wszyscy boją się mnie, bo taką straszna jestem, a czyż ja temu winna?“

„Czémże ci mogę służyć“, rzekł Władzio wrzucony, i zbliżył się nieco, by podnieść ze ziemi biedne dziecko.

„Mam wielki głód i pragnienie“, narzekalo dziewczę, „ale ponieważ niemogę biegać, trudno mi napić się u zdroju, lub uzbierać kilka jagódek.“

Teraz dopiero spostrzegł Władzio, że dziecko miało zupełnie krzywe nogi; prędko więc pobiegł na miejsce, gdzie był zostawił swe jagody i przy-

niósł jój pełen dzbanuszek. „Bierz i jedz“, rzekł dobrodusznie, stawiając je przed nią, dodając jeszcze swą skibkę chleba. Z radością przypatrywał się, jak skwapliwie zajadało to wszystko biedne straszycelko, choć czasem mimowolnie dreszcz go przejmował, gdy otwierała duże czerwone usta na szerokiém czole.

„Chciałabym się chętnie umyć“, mówiła po chwili błagalnie dziewczyna. Władzio pospieszył natychmiast do źródła i przyniósł w wypróżnionym dzbanku wody. Twarz biedaczki niezmieniła się wprawdzie po umyciu, lecz oczy niebyły już tak smutne i napełnione łzami, a to cieszyło dobrego chłopca.

„Jakże tobie imię?“ zapytał nakoniec.

„Oda“, odpowiedziało dziecinnie. „Ach! byłam ja dawniej szczęśliwém dzieckiem, mieszkałam w zamku pełnym złota, srebra i dyamentów, i miałam wiele towarzyszek, bo moja matka jest wielką czarodziejką. Atoli ma ona zaciętą nieprzyjaciółkę, która ustawicznie przemyśliwała nad tém, jakby ją umartwić i udręczyć, a to udało jój się doskonale. Gdy jednego dnia przestąpiłam zakazaną granicę wielkiego naszego ogrodu i niewiedząc dostałam się w jój moc, ona upośledziła mnie tak okropnie, jak mnie tu widzisz. Potém rzuciła mnie z szatańskim śmiechem na próg pałacu méj matki. Gdy ta wieczorem powróciła i ujrzała mnie płaczącą na ziemi, nieuznała mnie za swe dziecko, lecz przerażona mą brzydotą, kazała mnie wynieść sługom do lasu. Przecież nakoniec litość zwyciężyła i tak choć mnie nieuznała za swe dziecko, pozwoliła mi przecież być na swym zamku. Potém szukano mnie przez trzy dni po zamku i ogrodzie, a gdy nigdzie nie było dawniejszój Ody, pomiarkowano się, że ja nią być muszę. Przez trzy dni chodziła moja matka ciągle do złój

czarodziejki, błagając ją, by zdjęła ze mnie okropne czary; lecz gdy wszystko niepomogło, przyszła smutna acz spokojna do mnie, a pocałowawszy mnie raz jeszcze, zanosła do tego okropnego lasu, gdzie już od wielu godzin przebywam. Obawiam się, że dla méj brzydoty przestała mnie kochać, i że będę w tym lesie zmuszoną umrzeć z głodu.“

„Gdzież tam“, rzekł Władzio boleśnie, „matka kocha choćby swe najstraszniejsze dziecię, wiem to z własnego przekonania. Uspokój się biedna Odo! zaniosę cię na własnym ręku do naszego domu, do matki mojej, ona jest tak dobrą i litościwą, więc chętnie cię przyjmie, a do pożywienia téż się jeszcze co znajdzie, bo trzeba ci wiedzieć, że jesteśmy biedne, bardzo biedne.“

„Niemogę“, odpowiedziała smutnie Oda, „niemogę. Moja matka żegnając się zemną rzekła: „Nie opuszczaj tego miejsca, cokolwiekby cię tu spotkać miało.“ Już nigdy w życiu nie będę jój nieposłuszną; gdybym była zawsze słuchała jój przestroóg i nieprzestępowała granicy ogrodu, nie byłabym dziś tak nieszczęśliwą. Idź sobie dobry chłopczyku do domu i zostaw mnie losowi. Jeżeli mnie już moja matka niekocha, niechaj nie żyję dłużej.“ I biedna dziewczynka zaczęła na nowo gorzko płakać.

Władzio przysłuchiwał się z wielkim współudziałem, a łzy litości spłynęły po jego licu.

„Ty niepojmujesz, jak ja cię żałuję, biedna Odo“, rzekł serdecznie, układając jój na ziemi z miękiego mchu posłanie; „jeżeli nic więcej niejestem w stanie uczynić dla ciebie, to cię przynajmniej codziennie tutaj odwiedzę, przyniosę wody, chleba, jagódek, i pobawię się z tobą, byś niemiała tak okropnych nudów. Tylko się nie smuć tak bardzo, twoja matka

nieopuściła cię pewno na zawsze, bo tego by żadna nie uczyniła. Masz słuszną, iż chcesz tu cierpliwie czekać, aż niepowróci, ja też tu już nigdy nie będę łowił w sidła ptaków, ażeby ci ładnie śpiewały. Czy niemógłbym ci też tu przyprowadzić mojej siostryczki?”

„Nic niepowiadaj o mnie nikomu“, rzekła brzydka dziewczynka tak słodkim głosem, że się już niewydawała tyle straszną Władziowi, i podała mu rękę na pożegnanie. Tak nadeszło południe, a Władzio pospieszył do domu, by się tam o niego nie troszczono.

W głębokim zamyśleniu zwrócił swe kroki ku domowi. Obiad już był zastawiony na stole. Władzio zjadł zaledwie połowę swjej części, chociaż od rana bardzo tylko mały był zjadł kawałek chleba, którego większa część dostała się kogutowi i obcemu dziecku w lesie. Z obiadu zachował kawałek mięsa i owoc, ażeby to nazajutrz mógł zanieść małej pustelnicy, i tak zadowolony i szczęśliwy przez dzień cały znosił cierpliwie wszelkie dowcipne przymówki starszego brata.

Przez cały miesiąc zajmował się tak biednym, zaczarowanym dziecięciem. Opatrywał we wszystko, pocieszał i rozweselał Odę podług sił swoich, i nakoniec tak się przyzwyczaił do jej brzydkiej twarzy, że już mu się wcale tak szkaradną nie wydawała. „Przyniosłam sobie z domu zabawki“, rzekła razu jednego Oda, pokazując swemu młodemu przyjacielowi małe pudełko; ale dzieciom zbywało czasu, by się niemi bawić, gdyż zawsze mieli sobie co do opowiadania.

Tymczasem w domku pani Stawińskiej, stawały się obiady coraz szczuplejsze, a biedna wdowa, nie-

miała już czém prawie pożywić trojga swych dzieci. Władzio nieprzynosił téż już tyle jagód i grzybów, co dawniej, gdyż pora roku niebyła już po temu, niechętnie téż stawiał sidła na ptaki, wiedząc, iż ich śpiew jest najmilszą rozrywką zaczarowanej dziewczynki. Jednakże zawsze zdołał coś uszczuplić dla Ody, choć sam przy tém często głód cierpiał. Nie miała ona wprawdzie wiedzieć, co on dla niej cierpiał, ale mądre dziecko uważało dobrze wybladłe lica Władzia i słyszała go często skrycie wzdychającego, kiedy jój przynosił kilka ziemniaków lub rybkę ułowioną w stawie, którą matka dla niego była sporządziła, a wtenczas szczerze jój było żal biednego chłopca. Ażeby mu się niejako wywdzięczyć za te wszystkie ofiary, prosiła go raz, by jój przyniósł książkę, z którejby mu mogła rozmaite rzeczy czytać, lub uczyć go liter poznawać. Jakoż doprawdy znalazło się kilka książek w puściźnie po ojcu; a że nikt ich niepotrzebował, łatwo mógł je chłopiec zanieść swój młodej przyjaciółce, którą lubił coraz bardziej.

Najgorzej było dawnemu ulubieńcowi kogutowi przy téj nowej znajomości, bo Władzio dzielił się teraz swym chlebem z małą brzydota w lesie, a ponieważ każdy kąsek stawał się coraz mniejszy i droższy, już się tylko w lesie przez Władzia zbierane ziarenka dostały ptakowi. Chłopiec ubolewał, że już niemógł paść tak, jak dawniej swego koguta, ale biedna Oda wygnana z swego pięknego zamku, rozłączona z swą matką, bardziej go jeszcze litością przejmowała, ona była tak nieszczęśliwą, a przecież tak cierpliwie znosiła los swój okrutny. Czyżby ona czarodziejka na zawsze miała ją opuścić? tego niepojmował Władzio.

Jednego poranka, rzekła matka ze łzami w oczach do dzieci: „Dzisiaj, dziatki moje, niemamy już nie na obiad, gdyż szafa moja zupełnie jest próżną. Niemówiąc o własnej słabości, która powstała z tak długiej nędzy, wiem, że i wam niezbędnie byłaby potrzebna pożywiająca strawa. Jednakże niemogę wam dziś zaradzić; pocieszmy się modlitwą i ufajmy w Bogu, że kiedyś lepiej nam będzie, jeżeli nie w tém, to w przyszłym życiu.“

Władzio wyszedł przed chatę łzami zalany. Nie tyle go bolało, że on sam dziś nie miał, jeść obiadu, lecz bardziej żał mu było biednej Ody, której już wczoraj nie był w stanie dać kolacyi. Wtém na podwórku ukazał się kogut i zapał wesolo na dzień dobry swemu młodemu panu, który dziś na niego łzawém spojrział okiem. Lecz nagle myśl jakaś błysła na czole chłopca, wahał się chwilę, jak gdyby walka odbywała się w jego duszy. Potém spokojnie poszedł do matki i rzekł: „Jesteś tak słabą mateczko, my także od dawna nie jedliśmy mięsa, niemożnaby dziś na obiad zabić mego koguta, zapewne byśmy się nim wszyscy pokrzepili.“

„Twojego ulubieńca“, rzekła wzruszona matka, „czyżbyś chciał poświęcić to kochane zwierzę dla naszego głodu?“

Chłopiec zamyslił się, kiwnął głową i wyszedł do ogródka.

Gdy południowa godzina nadeszła, widziały wszystkie dzieci nadspodziewanie suto zastawiony stół i radując się do obiadu zasiadły. Lubo Władzio żałował, że już nie usłyszy więcej piania ulubionego koguta, cieszył się jednakowoż z powszechnego zadowolenia, którego był sprawcą, a przede wszystkim, że będzie mógł tak smaczny obiad zanieść

swój Odzie. Zaraz też po obiedzie, mało skosztowawszy z swój części, zaniósł ją dziecku.

Zgłodniała pustelniczka zajaadała skwapliwie przyniesione dary, a przy rozstaniu się wręczyła Władziowi pudełko, jakie się zwykle dzieciom z zabawkami na gwiazdkę daje. Władzio schował pudełko do kieszeni, pożegnał Odeę i szczęśliwy, że dobrze uczynił, udał się z lekkim sercem do domu.

Już się było zciemniło, wszyscy siedzieli smutni około stołu. Mała lampka rzuciła dokoła blade światło, a wiatr jesienny dał silnie na wałce się ściany chaty. „Biedna Oda“, pomyślał Władzio, „wśród tak burzliwej nocy, tak sama musi leżeć w lesie. O ileż ja jestem szczęśliwszy, mając ciepłe łóżeczko, a co ważniejsza, tak dobrą, tak kochaną matkę. Matka Ody przecież wcale musi być nie-dobrą, ona mieszka w pysznym pałacu, a pozwoli dziecku głodnieć wśród dzikiego lasu.

Takie myśli dręczyły chłopca, przytém myślał jeszcze ciągle mimowolnie o swym pięknym czarnym kogucie, więc usiadł sobie smutnie przy matce.

Nikt nie wyrzekł słowa, bo wszyscy pogrążeni byli w głębokim dumaniu; nagle przypomniał sobie Władzio o pudełku darowanym mu przez Odeę. „Może przynajmniej siostrę zabawią te zabawki, a i matka nie będzie tak trwożliwie słuchała na świstanie wiatru, który zda się chcieć zdmuchnąć naszą chatę.“

Prędko wyjął z kieszeni pudełko, mówiąc nieco zmieszany, obawiał się bowiem, aby go matka nie zapytała, z kądby je miał: „Patrzcie no, co ja mam?“

Lecz matka dziś ledwie zważała na jego słowa, jej myśli były w tej chwili w krainie, z kąd już nie-ma powrotu, dokąd ojciec był poprzedził swą rodzinę, z kąd oczekiwała nagrody za życie pełne trosk i trudów!

Marynka zaś, przybliżywszy krzesło do stołu, rzekła ciekawie: „To zabawki!“ Władzio przysunął pudełko matce, niemogąc dłużej znieść smutnej jej twarzy i rzekł błagalnie: „Prosim mateczko, poustawiaj nam te cacka.“

Pani Stawińska czyniła to jakby we śnie; mając głowę opartą na dłoni, siedziała przy stole, ustawiając drugą ręką mechanicznie przedmioty znajdujące się w pudełku.

„Patrzcie no“, rzekła z cicha, „otóż jest ładny dworek z wielu oknami i szerokimi drzwiami, zapewne, ażeby dużo ubogich mogło się w nich pomieścić i zostać pożywionymi z bogatej spiżarni, na której w takim dworze zbywać nie może. Tutaj jest śpichlerz, zapewne pełen zboża; tam stajnie i obory, a tutaj dość bydła. Dwie, trzy, cztery krowki, i tam jeszcze dwie, i jaka ilość koni.“

„Konie“, zawołał Karól żywo. „Pokażże mi je mateczko, jakie one są, brunatne i gładkie?“

„Cztery brunatne i tam oto cztery siwe; ludzie, do których to gospodarstwo należy“, dodała z boleśnym uśmiechem, „muszą być bardzo zamożni. I my mieliśmy sześć koni za życia dobrego waszego ojca, lecz on zawsze sobie jeszcze dwóch życzył.“

Matka przewróciła w zamyśleniu pudełko tak, że wszystko, co się w niem znajdowało, wypadło na stół; każde z dzieci uchwyciło coś ze zgrabnych figurek, a choć właściwie już byli za duzi do takich zabawek, niemogli się przecież oprzeć chęci poustawiania całego gospodarstwa w porządku.

„Matko“, zawołał Karól, „jakaż to ogromna trzoda owieczek.“

„Otóż i piesek do nich“, dodała Marynka, „a patrzcie tam na tego ogromnego wołu“.

„Ja mam stodołę i studnię z kołem i łańcuchem; ach, gdybyśmy tę mieli opodal domu, zamiast tój, z której trudno i wody wydostać“.

„Jakaż to tam zgrabna dziewczka z dwoma ćwierciami? zbliżmy ją do studni, niechaj nabiera wodę. Poustawiajmyż całe gospodarstwo w porządku“.

„Możemy to uczynić“, rzekła matka. „Dwór oto stoi na środku stołu, zbliżmy do niego budynki gospodarskie“.

„Studnię pewno mogę blisko przy drzwiach domu postawić, mam?“

„Byłaby lepiej umieszczona pomiędzy oborami, w tych korytach możnaby zaraz bydło poić.“

„Słusznie mówisz Maryniu“, odpowiedziała matka. „Przede dwór ustawmy lepiej te zielone drzewa.“

„Tak, tak“, zawołał Antoś.

„Otóż są ławki, które możemy w ich cieniu poustawiać“, wtrąciła matka.

„A tutaj stoją dwaj parobcy z batami, ustawmy ich przy wołach.“

„Ach, jakże to piękny gołębnik! należy się postawić go na środku podwórza“, rzekł Władzio.

„Postawcie go tam; ale gdzież umieścimy kury, przecież ich jest dziesięć“, rzekła matka.

„Tam nad tym chlewem prowadzą pewno drzwi do kurnika, trzeba tylko drabiny.“

„I otóż jest. Ale cóż tam widzę. Czarny kogut z czerwonym grzebieniem, istotny obraz biednego ulubieńca Władzia“.

„O, mój śliczny kogucie. Zdaje mi się, że go widzę przed sobą; potrzeba tylko, żeby zapałał; szkoda, że niema płotu, abym go mógł nań postawić“.

„Jest ich tu kilka rozmaitego gatunku, poustawiaj-

cież je i okrążcie nimi ogród, w którym ustawie krzaki i drzewa“.

I dzieci porządkowały i poprawiały wszystko, rozweselając się coraz bardziej, atoli matka niemo-gła całkiem dzielić ich wesołości. Piękny dwór, roz-pościerający się przed jój oczami, przypominał jój ciągle walącą się chatę, próżne chlewy i śpichlerze. Oczy jój zwilżały, a smutek pokrył lica. Władzio uważał to z boleścią. Odszedł od stołu, zbliżył się do niój, położył głowę na jój ramieniu i rzekł pie-szczotliwie: „Ach, gdyby to podwórze rzeczywiście stało na tym zielonym placu i należało do ciebie, najdroższa mateczko!“

Zaledwie był wyrzekł te słowa, gdy zagnała wszyst-kie stodoły, zwierzęta i domy zaczęły się poruszać i wzrastać cudownym sposobem. Okna pięknego dworu błyszczały od promieni księżyca, ryczały kró-wki w oborze, a dziewczka z dwoma szkopkami na-pelnionemi mlekiem wracała od doju. Na drabinie stał śliczny czarny kogut, poruszając skrzydłami piał wesoło. Wykrzyk radości wyrwał się z ust chłopczy-ny. W tój chwili ukazała się piękna, wspaniała pani, prowadząc miluchną dziewczynkę za rękę, i rzekła zwracając się do Władzia: „Twoja ofiara, twoje mi-łosierdzie wspierało biedną moją Odę, gdy za swe nieposłuszeństwo kary ponosić musiała. Ofiarowałeś twojego najmilszego ptaka, głodziłeś się dobrowol-nie dla nieznanego ci brzydkiego dziecka, a to było doskonałym dowodem dobroci twego serca. Używaj więc teraz za to radości, iż stałeś się przez to sprawcą takiego szczęścia i zamożności twój ro-dziny, bo ta wioska jest podziękowaniem wdzięcznej wróżki Aurory“.

Znikła.... Karól i Marynia zmieszali się nie-

zmiernie, gdyż im nie była obcą Aurora. Karól był ją razu jednego trafił w lesie, gdzie w łachmanach szła o krukwiach, i naśmiewał się z niej nie mało, a Marynka odpędziła ją była razu jednego nielitościwie gdy prosiła o jałmużnę. Zawstydzeni przyznali to matce, która stała jakoby we śnie z podziwienia i rozkoszy, a od téj godziny już z nich żadne niepopadło w błąd dawniejszy.

Władzio, który już w najrychlejszém dzieciństwie okazał się tak dobrym, wyrósł na uczciwego człowieka i był zawsze dumą swéj szczęśliwéj matki. Daninę Ody nazwał piękną wioską, na której cała rodzina żyła w niezachwianém szczęściu i spokojności. Z czasem została coraz bardziej powiększoną, a dziś jest jedną z największych majątności w kraju. Władzio, matka jego i rodzeństwo, już dawno nie żyją, ale portret Władzia pokazują jeszcze w wielkiej sali zamku jego potomków; jestto obraz chłopca, który pieści czarnego koguta. Było to właśnie w chwili, kiedy go ofiarował na pożywienie rodziny i brzydkiéj Ody.

K o n i e c .

